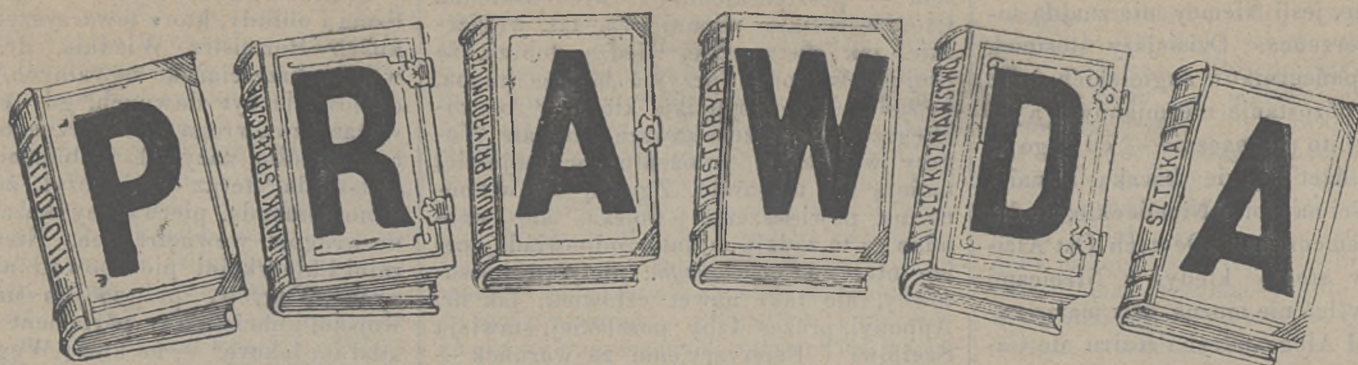
**Nr. 9 (1157).** Warszawa, 15 (28) Lutego 1903 r. **Rok XXIII.**




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***
**Redaktor** przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
**Przedpłatę przyjmują:** Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Administracya otwarta codziennie**, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### Dreszcz o przyszłość.

W „państwie bojaźni bożej" zaczyna umysły patryotyczne ogarniać trwoga o przyszłe stosunki z mocarstwem oceanicznem globu ziemskiego. Nie zawsze będzie tak łatwo, jak teraz, szło utrzymanie równowagi, a nawet wiązanie się w spółki polityczne, jak świeżo przed wyprawą na Wenezuelę. Anglia ma niewyczerpane źródło żądzy panowania na morzach; ma też dla jej zaspakajania potężną flotę, a według niedawno wygłoszonych w parlamencie słów ministra angielskiego postanowiła trzymać ją na stopie takiej potęgi, aby ona jedna miała tyle okrętów bojowych i pomocniczych, ile ich mają wszystkie po za nią mocarstwa razem wzięte. Gdyby nawet duch zamarł, sama ta flota wystarczyłaby już do ciągłego podsycania ambicyi panowania na morzach, a kto powiedział „morze," ten wyrzekł i „ląd nad morzem." Mocarstwo morskie musi się stać kolonialnem, kolonialne musi się stawać coraz bardziej morskiem. Jedno żyje drugiem, a na lądzie czy na morzu nad każdym takim lewiatanem ciąży fatum. Ani rozpościeranie się po globie, ani wzmaganie się w potęgę do rozpościerania się konieczną nie mają granic dobrowolnie wytkniętych — chyba w wewnętrznem niedołęztwie lub w zewnętrznej energii i sile. Rośnie się ciągle, pożera się ustawicznie, zbroi się bez końca— aby nareszcie doczekać się losu ćmy, wpadającej w marny płomień świecy. Jeżeli gdziekolwiek i w czemkolwiek panuje bezwiedność — to w tej mocarstwowej żądzy wchłaniania w siebie krajów i ludów. Żaden rozum stanu tej bezwiedności nie znosi, bo on sam ma za macierz swą — bezwiedną namiętność.

Niemcy na takiej pochłaniającej, ale inaczej niż angielska wyspecyalizowanej, namiętności wyrośli. Oni sobie swoją drogę dziejową oświecali pochodniami zniszczenia. Całe ludy — ludy słowiańskie — jak wyrąbywane lasy, padały od ich żądzy politycznej, w kulturalne dążności przystrojonej, ekonomiczną chciwością wspomaganej. Ich państwo średniowieczne było mizernem, ale ich żądza była silna: nie tracili mocy podbojów i zniszczeń, a z całego morza feudalizmu, później udzielności książęcej, z pośród anarchii i niemocy zdołały wcześnie wyłonić się dwie skaliste warownie: jedna na północy w krzyżactwie, druga na południu w Habsburgii. Pierwszej dostał się w spadku po Saksonach topór zagłady narodów obcych; druga zagarniała ludy słowiańskie, nie tępiąc ich, ale więżąc w ciemnicy państwa habsburskiego. Na północy z Marchii brandenburskiej i z krzyżactwa powstały Prusy, zbrojne w dziedzictwo wieków, w topór do tępienia, wzbogacone nowożytną, czarnym stuleciom Średniowiecza nieznaną, sztuką, którą Macchiavelli ujął w dziwnie prostą, przez swą prostotę wzruszającą radę: „Nie możesz być lwem, bądź lisem" (*bisogna esser volpe o leone*). Lwów w Prusach nie było, były jednak tęgie brytany, a lis nie zawiódł: od „Wielkiego Elektora" do „Bismarcka" jest w daleko wyższym stopniu, niż legendowy nauczyciel wiejski lub rzeczywisty już żołnierz pruski, twórcą potęgi pruskiej, a pośrednio i niemieckiej. Pod jego godłem wyrosło „państwo bojaźni bożej."

Rozpostarły się i Niemcy po morzach; zajęły ogromny obszar w Afryce wschodniej, od zachodu usadowiły się w Damara i w Namaqua; w Oceanii wtargnęły na N. Gwineę, w Chinach zajęły terytoryum zawczasu już urządzone w stacyę militarną, która kiedyś ma dokonać podboju prowincyi Szan-tung; i one także niesłychany, gdy się zważy początkową maluczkość, rozwój lądowy zaczynają łączyć z morskim, kolonialnym. Stają się zwolna współzawodnikami Anglii. Działają wprawdzie nic przeciwko niej, ale z nią, za jej zezwoleniem. Nie będą tak nierozumnymi, aby ją wyzywać; w przyszłych jednak układach i stosunkach, jeśli pozostaną nietkniętymi na lądzie, można przewidywać chwilę, gdy zrzeszonemi siłami pójdą nawet wbrew Anglii, może i jawnie przeciwko niej. O samozachowaniu się obronności własnej zaczynają teraz w Anglii myśleć. Całe wschodnie wybrzeże angielskie po nad Tamizą nie ma wprawdzie wielkich przystani i zatok ułatwiających wylądowanie, a w Szkocyi bardziej północnej bronione jest przez samą naturę, ale nie ma też wcale i warowni — jest zupełnie odsłonione. Obwarowanie go, choć późne, staje się poważnem zadaniem myśli angielskiej i za lat kilka niezawodnie wystąpi w osłonie rzeczywistości.

W tej obronnej trosce angielskiej publicystyka niemiecka dopatrzyła się odrazu złych zamiarów Anglii na morze Niemieckie. Jakiś admirał wydał umyślną broszurę, aby przestrzedz o niebezpieczeństwie; nie jest ono jeszcze blizkie, ale jest już niebezpieczeństwem. Trzeba budować okręty na gwałt. Według planu ma być flota niemiecka wykończoną 1916 r.; zawczasu więc wprowadzić taką skalę powiększenia, aby ta sprostała grozie przyszłości. Można się teraz spodziewać nowych żądań w sejmie, nowych wykazów tego, co potrzeba, no-

wych planów tego, co być musi. Miliony straszliwe kosztować będzie nowa trwoga, a te miliony nie przydadzą się na nic, jeśli lis nie dopomoże, jeśli Niemcy nie znajdą sobie sprzymierzeńca. Dzisiejszy stosunek 42 wielkich pancerników angielskich do 12 niemieckich pozostanie niezmiennym, a jeśli się zmieni, to nieznacznie — od tego są Anglicy. Budżet będzie beczką Danaid. Nie dla napaści na morze Niemieckie, ale dla wydarcia Niemcom ich „Deutsch-Ost Afrika“ Anglicy stoczą kiedyś z Niemcami wojnę. Pomyśleć nie można, aby mając cały wschód od Aleksandryi i Kairu do Cape-town, połączywszy oba te punkty wstęgą żelazną, zająwszy na północ od wielkiej kolonii niemieckiej, rozległe krainy nad Dżubem, zaokrągliwszy się Ziemią Somalów, mogli kiedyś długo scierpieć taką *enclave*, jaką będą posiadłości niemieckie względem terytoryum angielskiego. Do wojny przyjść kiedyś musi. Nie bateryj i eskadr na morze Niemieckie od zachodu natrzeć mogących, ale — floty angielskiej, która sięgnie po Afrykę wschodnią Niemców — obawiać się patryoci pruscy powinni. Ale to jeszcze dalekie czasy. Patryoci mogą lać złoto w beczkę bez dna: Anglia zabierze im, co zabrać musi.

## KOŁO POLSKIE
i
WOJSKO AUSTRYACKIE.

Znowu byliśmy świadkami wstrętnej komedyi w parlamencie wiedeńskim, w której naturalnie wzięło udział Koło polskie.

Szło o powiększenie wojska. Władze, zarządzające wspólną armią austro-węgierską, uznały za stosowne powiększyć ją, ni mniej ni więcej, tylko o 30,000 rekruta rocznie, i to teraz, w czasie największego przygnębienia ekonomicznego, kiedy nic nie grozi na seryo pokojowi europejskiemu, kiedy wszystkie wróble ćwierkają naokoło o niewzruszonem jego umocnieniu przez misterny system przymierzy europejskich. Ponieważ Węgrzy takich rzeczy nie zostawiają delegacyom, lecz zachowują je dla parlamentu, więc trzeba było drażliwy projekt przedstawić obydwu parlamentom — peszteńskiemu i wiedeńskiemu. Otóż, wszystkie stronnictwa, tak węgierskie, jak austryackie, wiedzą dobrze, że projekt w końcu przyjąć będzie trzeba, bo żądają tego czynniki, które w Austro-Węgrzech są jeszcze zawsze silne; ale Węgrzy w takiem położeniu przynajmniej umieją się targować. Zgodzą się w końcu na powiększenie wojska, ale wzamian za to żądają zapłaty, odpowiadającej ich interesom *narodowym*: nietylko kossutowcy, ale taki nawet człowiek, jak hr. Apponyi, prezes Izby poselskiej, stawiają Szellowi i Fejervary'emu za warunek — uzyskanie nowych postępów na polu madziaryzacyi armii, stojącej na Węgrzech, pod względem oznak, sztandarów, języka, składu osobistego oficerów. W celu nadania tym żądaniom należytej mocy i wymuszenia ustępstw na sferach decydujących, prowadzi się obecnie w parlamencie peszteńskim obstrukcya, która się nie skończy, dopóki targ korzystny nie zostanie ubity.

Zupełnie inaczej w Wiedniu. Tu współzawodniczące stronnictwa narodowościowe nie mają innej taktyki, jak ubieganie się o łaskę z góry. Do tego w gruncie rzeczy sprowadzają się wszystkie ich frazesy o tem, że w interesie swej narodowości dbają o siłę obronną Austryi; bo co warte są te zapewnienia, jeśli Koło polskie lub Czesi cieszą się z „wyemancypowania“ się Austryi od Niemiec, a Niemcy austryaccy przy tej samej sposobności cieszą się, że Austrya ściślej się łączy z Rzeszą? Gdyby parlament wiedeński chciał, wymógłby z pewnością na rządzie przynajmniej skrócenie służby w piechocie do lat 2, co zrobiły już Niemcy, a obecnie robi Francya, lub uzyskałby rzeczywiste wprowadzenie reformy barbarzyńskiego kodeksu wojskowego z czasów Maryi Teresy, zamiast stereotypowych, nigdy niedotrzymywanych obietnic ministra obrony krajowej. Ale żadne ze stronnictw miarodajnych o tem nawet nie pomyślało. Większość, złożona z Niemców, zarówno liberalnych, jak klerykalnych, i z Koła polskiego, z referentem Popowskim na czele (Czesi *tym razem* głosowali przeciw) poniżyła nawet godność parlamentu, tak ważny projekt przeforsowawszy w ciągu paru dni, a ostatniego dnia, we czwartek 19 lutego, postanowiła obradować do trzeciej w nocy, byle tylko skończyć z projektem przed krótką przerwą zapustną, wszystko bez żadnej potrzeby, bo projekt i tak nie wejdzie w życie, dopóki go w Budzie nie przyjmą, a to nie prędko nastąpi.

Trudno opisać wszystkie objawy serwilizmu i obłudy, które towarzyszyły tej dyskusyi. Burmistrz Wiednia, dr. Lueger, wódz „chrześciańsko-socyalnych,“ który za czasów niezbyt dawnych, gdy sam był uważany za „wroga wewnętrznego,“ wojsko czarno-żółte nazywał publicznie „armią Rotszylda,“ teraz oświadczył, że byle mu dano komendę, pierwszyby kazał strzelać do wrogów wewnętrznych. Niemcy liberalni i klerykalni piorunowali na bezczelnych Węgrów, pragnących unarodowić wojsko, i chcieli, aby parlament wiedeński „dał im lekcyę“ — na którą Węgrzy nazajutrz odpowiedzieli tylko — silniejszą obstrukcyą.

Jedyną opozycyę stanowiła garstka demokratów społecznych.

Zaprawdę, ciekawe to było widowisko!— Posądzam posła Daszyńskiego, że je umyślnie urządził! Sam on nieraz już przemawiał w rozprawach nad militaryzmem i tym razem o 2-ej w nocy wygłosił mowę o barbarzyńskim kodeksie wojskowym i o lukach specyalnego „honoru oficerskiego,“ które demonstrował *in anima vili* na sławnym ze sprawy Mattachicha księciu Koburskim. Obronę zaś krzywd Polaków w wojsku austryackim, tym razem widocznie umyślnie, zostawił swym kolegom Niemcom, jakby chcąc dać tem opinii publicznej wymowną lekcyę poglądową. Niemiec tedy, Eldersch, mówił o prześladowaniach, na jakie naraził się w osławionym korpusie przemyskim żyd-rezerwista Liebhart za jedno przy meldunku niebaczne słówko: „Jestem!“ — o tem, jak dowódca korpusu gen. Galgoczy, nie chciał go puścić z więzienia do umierającej żony, ani na jej pogrzeb, gdy umarła. Niemiec Pernerstorfer ściągnął na siebie naganę prezydenta za namiętne wyrazy oburzenia z tego powodu i za nazwanie generała za jego czyny—człowiekiem bez honoru. Galgoczy — jest to typowy żołdak austryacki starego autoramentu, który teroryzuje w Przemyślu całą ludność cywilną i wielokrotnie już objawił dla niej swą niechęć. Jak się pod jego komendą dzieje żołnierzom, o tem świadczą niesłychane cyfry z jego korpusu: 92 samobójców, 70 dobrowolnie okaleczonych, 44 obłąkanych, 13 okaleczonych przez zwierzchników, 400 dezerterów, 725 — w więzieniach — w ciągu jednego roku! Zapewne, cyfry te przytoczył też w swej mowie

---

WACŁAW NAŁKOWSKI.

## WRAŻENIA
# Z TRZYDNIOWEJ WYCIECZKI do Owernii.

Ubiegłego lata wybrałem się w podróż po Europie zachodniej i południowej dla bezpośredniego poznania najbardziej typowych zjawisk geograficznych. Po zwiedzeniu świata alpejskiego z jego rzeźwiącymi lodowcami i uroczemi jeziorami, podążyłem z nad lazurowego Lemanu przez Jurę i Lyon do Owernii, tej klasycznej krainy wygasłych wulkanów i wulkanicznych jezior, która od 100 lat, to jest czasu Leopolda Bucha stała się upragnionym celem dla geologów i z którą związane są ważne fazy rozwoju nauki o ziemi, mianowicie teoryi wulkanizmu. Piękność krajobrazowa, owiana urokiem bohaterstwa starożytnych Gallów, przed którem ugiął się na chwilę nawet geniusz Cezara, pociągała mnie też niemało ku tej ciekawej krainie.

Owernia stanowi, jak wiadomo, zachodnią część wyżyny Francyi Centralnej. Chcąc zrozumieć jakąś krainę w jej objawach obecnych, trzeba, podobnie jak dla zrozumienia danej indywidualności ludzkiej, poznać jej przeszłość, jej rozwój, zmienne losy, którym podlegała, zanim doszła do stanu obecnego; rzućmy więc, choć przelotnie, okiem na geologiczne dzieje wyżyny Centralno-francuskiej, a w szczególności — Owernii.

W czasach zamierzchłej przeszłości geologicznej, gdy na ziemi rosły owe wielkie lasy, które zmagazynowały energię słoneczną w pokładach węgla kamiennego, to jest podczas peryodu węglowego, obecna wyżyna Centralno-Francuska była częścią wielkiego pasma gór fałdowych, łańcuchowych podobnych do dzisiejszych Alp. Te stare Alpy kamienno-węglowe ciągnęły się mniej więcej równolegle do Alp dzisiejszych po ich stronie zewnętrznej tj. zachodniej i północnej. Z biegiem czasu góry te, wystawione na działanie sił zewnętrznych, głównie wód lądowych, uległy zniszczeniu, zrównaniu aż do najstarszego („archaicznego“) fundamentu złożonego z gnejsów i granitów. Powstała tym sposobem w miejsce dawnych gór równina zburzenia (denudacyi), ulegała później zalewom morskim, zwłaszcza w czasie jury, gdy osadzały się głównie wapienie, które u nas tworzą malowniczy grzbiet gór, ciągnący się od okolic Krakowa do okolic Częstochowy. Podobne wapienie osadzały się też wtedy na południowym skraju wyżyny Francuskiej, noszącym nazwę Sewennów wapienie te spoczywają tu poziomemi warstwami na archaicznym fundamencie, tworząc wyżyny stołowe, zwane *causses*, pełne zapadlin, jaskiń i wód podziemnych, zjawiska zwykłe w skałach wapiennych, jako szczelinowatych, łatwo ulegających działaniu wody, zwłaszcza, gdy skały te sięgają wysoko, tak że woda podziemna znajduje znaczny rozmiar pionowy dla swobodnej cyrkulacyi.

W czasie starszego trzeciorzędu, mianowicie w tak zwanym oligocenie, wśród tego płaskiego kraju powstały jeziora, nad których brzegami rosła bujna roślinność zwrotnikowa — coś podobnego do dzisiejszej krainy jezior na wschodzie Afryki ekwatoryalnej. Nieco później parcie, fałdujących się Alp dzisiejszych pod wpływem siły, działającej na nie od wschodu i południa udzieliło się i tej krainie, mianowicie sfałdowało ją, jak to niedawno wykazał geolog francuski Julien; powstały tu mianowicie trzy tak zwane antyklinale, tj. grzbiety z warstwami wygiętemi na podobieństwo napół otwartych książek, posta-

członek Koła polskiego, demokrata krakowski Rotter; i on nie szczędził Galgoczy'ego, i on cały zarząd ministeryum wojny za Krieghammera nazwał „nędznym," skarżył się na zupełne i umyślne pomijanie przemysłu krajowego przy dostawach dla wojska, piętnował poruczników, którzy bezkarnie grożą rezerwistom, że „potrafią wytresować polskie świnie." Ba! Koło polskie oklaskiwało nawet swego mówcę: — co to kosztuje?! Gdy przyszło do głosowania, głosowało jednak, jak jeden mąż, za projektem rządowym bez żadnych warunków, i p. Rotter, mimo swej mowy, i wszyscy „demokraci" kołowi, w imię „solidarności Koła," nie mogli głosować inaczej. To też wspomniany już opozycyonista Eldersch, Niemiec, mógł rzucić Kołu polskiemu te szydercze słowa:

— Stwierdzam, że jest to wstydem i hańbą dla Koła polskiego, iż wzamian za wszystkie swoje pokorne służby rządowi nie może uzyskać nawet odwołania takiego Galgoczy'ego!

Zaiste, pyszna lekcya poglądowa!...

*zz.*

## NOWA TEORYA
# narodowości i państwa
### w Austryi.

III.

Tak więc Rudolf Springer uważa za niezbędne zamienić Austryę na federacyę narodowości autonomicznych, lecz wykazawszy szkodliwość i bezcelowość autonomii dwujęzycznych przeważnie krajów koronnych w ich obecnej formie, a wielką trudność odgraniczenia ściśle narodowościowych, jednolitych terytoryów, dochodzi do wniosku, stanowiącego właśnie oryginalność i nowość jego teoryi, że narodowości powinny stanowić ciała autonomiczne, niezależnie od tego lub owego terytoryum, uprawnione na całej przestrzeni państwa. Zobaczymy teraz, w jaki sposób praktycznie urzeczywistnić można tę myśl; innemi słowy, zapoznamy się z projektem reformy konstytucyi austryackiej, dość szczegółowo wyłożonym przez autora.

Przedewszystkiem zatem każdy obywatel państwa ma składać deklaracyę, do jakiej narodowości należy. Ani bowiem miejsce urodzenia, ani język rodziców, ani język używany w życiu codziennem, nie są tu dostatecznym probierzem i często mogą pozostawać w sprzeczności z rzeczywistem poczuciem narodowem jednostki. Dziś w ten sposób już określa się przynależność do pewnego wyznania religijnego, z tem oczywiście ograniczeniem, że dzieci idą za rodzicami, dopóki, doszedłszy do lat, nie złożą deklaracyi wystąpienia z jednej korporacyi religijnej, a przystąpienia do drugiej. Możność dowolnej zmiany narodowości, tak samo jak religii, musi być zawarowana przez państwo, choć zmiana taka może być przedmiotem potępienia i pogardy ze strony opuszczonych rodaków lub współwyznawców. Słusznie i głęboko, zdaniem naszem, mówi autor, że takie prawo wyboru jednostki jest odpowiednikiem prawa swobody i samorządu każdego narodu, jako całości. Ponieważ przymusowa asymilacya jest wykluczona, więc musi się rozwinąć zdrowa i pożyteczna rywalizacya między narodowościami, które będą się starały dawać swym członkom jak najwięcej dóbr kulturalnych, a jak najmniej nakładać na nich ciężarów. Deklaracya narodowości bowiem, czy to wyraźna, czy też (jak w większości wypadków będzie) milcząca, ma to prawne następstwo, że upoważnia do korzystania z dóbr kulturalnych narodu i zobowiązuje do płacenia podatków na jego cele.

Cele te, zakres działania autonomicznego narodowości, nie obejmują bynajmniej wszystkich funkcyj państwowych. Państwo austryackie nie przestaje istnieć obok narodowości i ponad niemi. One istnieją tylko wewnątrz państwa; na zewnątrz— tylko ono samo. Ono ma w rękach wojsko, policyę, sądownictwo i zarząd życia materyalnego, ekonomicznego, wraz z dotyczącymi go działami prawa: cywilnem, handlowem, karnem. Dziedziną narodowości jest — życie umysłowe, kulturalne, a więc przedewszystkiem całe szkolnictwo od dołu do góry, następnie — muzea, pamiątki, badania naukowe itp. Prócz tego jednak, ponieważ język narodowy przenika wszystkie dziedziny życia państwowego, więc państwo zwraca się we wszystkich sprawach do każdego ze swych obywateli w jego języku, i w tym celu wzywa do pomocy organy samorządu narodowego.

Jakże się to teraz ma wyrazić w praktyce? Otóż organizacya narodowości, jako takiej, zaczyna się już na najniższym stopniu życia publicznego, w gminie. Jeśli gmina zamieszkana jest tylko przez jedną narodowość, to samorząd narodowy zlewa się w jedno z samorządem gminnym; trudność zaczyna się wtedy, jeśli już w gminie (wiejskiej lub miejskiej) istnieje mniejszość innej narodowości. Przedewszystkiem, pytanie już, kiedy, od jakiego stopnia należy uznać mniejszość? Próbowano to rozstrzygać za pomocą różnych procentów, 20 lub 25, ale jest to probierz całkiem dowolny i często niesprawiedliwy. Należy wybrać kryteryum objektywniejsze, następujące: czy dana mniejszość narodowościowa w gminie chce i może utrzymać szkołę elementarną dla 40 dzieci? Jeżeli tak, to gmina uznana zostaje za dwunarodową *). Wtedy każda narodowość w głosowaniu powszechnem i równem wybiera sobie reprezentacyę gminną i prezesa gminnego, a te organy mają władzę nakładania podatków bezpośrednich na członków narodowości i rządzą jej sprawami w gminie.

Wyższem i najważniejszem ogniwem tej organizacyi jest okrąg (*Kreis*). Nie jest to dotychczasowy powiat, starostwo. Powiaty, których dziś Austrya ma 340, z siedemdziesięciotysięczną ludnością przeciętną, są za duże, aby administrator mógł stykać się bezpośrednio z ludnością, za małe — dla objęcia i wykonania szerszych zadań politycznych. Nie będziemy bliżej wchodzili w argumenty administracyjne autora, który jest na tem polu cenionym specyalistą; dość, że zarówno z tych względów, jak w celu rozbicia administracyjnej jedności historycznych krajów koronnych, autor podstawowem, elementarnem ogniwem administracyi państwowej chciałby mieć znacznie większy „Kreis," okrąg, mający przeciętnie $^1/_3$ miliona ludności, ze starostą na czele, rozpadający się na jakieś dziesięć małych powiatów z delegowanymi przez starostów komisarzami. Stolica powiatu jest siedzibą sądu i władzy podatkowej pierwszej instancyi; w stolicy okręgu zasiada obok starosty cały szereg władz okręgowych. Otóż okrąg jest też najważniejszem ogniwem organizacyi narodowościowej. Ważną zaletą tego podziału terytoryalnego jest to, że można go przystosować do granic narodowościowych, tak że — powiada S. — $^9/_{10}$ okręgów będą jednonarodowe; jest zaś dość duży, aby mniejszo-

*) Należy zaznaczyć, że podług Springera, który jednocześnie żąda gruntownej reformy administracyi, gmina powinna obejmować tyle miejscowości, aby jej ludność wynosiła najmniej 2.000 głów.

---

wionych grzbietami do góry; te trzy grzbiety o kierunku południkowym to: Owernia (Auvergne) na zachodzie, Forez we środku i Lyonnais na wschodzie, rozdzielone dwiema tak zw. synklinalami, tj. dolinami o układzie warstw, podobnym do napół otwartych książek, zwróconych grzbietami nadół — całość przypomina kształt litery W. Doliny te wypadły mniej więcej w miejscach dawnych jezior.

Największe wzniesienie wyżyny nastąpiło na południu, tym sposobem zyskała ona pochyłość ku północy; w tym też kierunku wody otrzymały spadek i jeziora spłynęły za pośrednictwem dwóch rzek, Loary i Allieru, łączących się ze sobą poza granicami wyżyny; po spłynięciu wód odsłoniły się ich dna, złożone z żyznych osadów jeziornych.

Południowa część wyżyny stała się węzłem hydrograficznym Francyi, urną, rozlewającą wody na cały ten kraj: ku kotlinie Paryskiej, Akwitańskiej i Langwedocko-Prowansalskiej.

Podczas fałdowania powstała jeszcze jedna ważna modyfikacya wyżyny: na grzbietach antyklinali, gdzie skorupa ziemska wskutek wygięcia uległa rozluźnieniu, otworzyły się drogi dla sił wewnętrznych, nastąpiły wybuchy, powstały wulkany, głównie bazaltowe. Areną tej działalności stał się głównie grzbiet zachodni (Auvergne) i powstały tu na grzbiecie wyżyny, na fundamencie z granitów i gnejsów, liczne wulkany stożkowe, zwane tu *puys*, jak np. znacznie już zniszczony Cantal, a dalej na północ najwyższy ze wszystkich Mont Dore, który się lepiej utrzymał dzięki twardym skałom, wreszcie — najmłodszy Puy de Dôme. We wschodniej części wyżyny te młode skały wybuchowe występują tylko w południowej części u źródłowisk Loary w krainie Velay; tutaj koło miasta Puy wznoszą się bardzo strome skały wulkaniczne, wyglądające prawie, jak kolumny; są to zapewne dawne zakrzepłe wypełnienia kanałów wulkanicznych, odarte ze swych płaszczów popiołowych, które, jako luźniejsze, uległy łatwo spłukaniu; szczyty tych kolumn są uwieńczone kościołami, jak to często się zdarza i gdzieindziej; stąd powstało wyrażenie niemieckie: „Basalt macht fromm."

Siły wulkaniczne przyczyniły się też do powstania tu nowych, licznych, choć drobnych jezior, a to przez wytworzenie kotlin; są to mianowicie bądź głębokie wyrwy eksplozyjne, tak zwane maary, bądź zagłębienia, powstałe przez pierścieniowe usypanie materyałów wybuchowych dokoła pewnego punktu, czyli kratery, bądź wreszcie zatamowania dolin rzecznych przez zastygłe potoki lawy. Te zastygłe potoki tworzą po rozkruszeniu ciemne, ponure rumowiska, zwane tu *cheir*, analogiczne do islandzkich pustyń lawy, zwanych *hraun*.

Obfite w feldszpat produkta wybuchowe przyczyniły się jeszcze bardziej do użyźnienia dawnych osadów jeziornych w dolinach Loary i Allieru; szczególniej błogosławioną krainą jest dolina tej ostatniej rzeki (Limagne), jako leżąca bliżej ognisk wybuchowych.

Po tych przewrotach nastała epoka lodowa; dawne lodowce pozostawiły ślady swego tutaj przebywania w postaci oszlifowań i rysów na skałach Cantalu i Mont Doru; na Puy de Dôme ich niema — powstał on zapewne już po epoce lodowej.

* * *

Ku tej to krainie dążyłem w drugiej połowie lipca koleją z Lyonu i jechałem ku zachodowi, przerzynając w części tunelami północne odgałęzienia wyżyny, powabny, pagórkowaty kraj winnic; Loara i Allier, pełne w tym czasie mielizn, nie wyglądały imponująco. Po przebyciu Allieru zwróciliśmy się ku południowi, pędząc przez żyzną równinę Limagne, mając po prawej grzbiet (Auvergne), który wciąż wzrastał, a zarazem tonął w zapadającym mroku wieczornym; była już blizko jedenasta,

ściom narodowym pozwolić się ukształtować i wypełnić swe zadanie. Mniejszość zostaje uznana wtedy, jeśli chce i jest w stanie utrzymać szkołę średnią: klasyczną, realną lub fachową, wedle woli. Wówczas okrąg uznany jest za dwunarodowy (albo i trzynarodowy, co byłoby jednak wyjątkowem) i każda narodowość w głosowaniu równem i powszechnem wybiera reprezentacyę okręgową i prezesa. W powiatach okręgu, jako mających znaczenie podrzędne ogniw pośrednich tylko, nie jest przeprowadzona cała organizacya dwunarodowa; tylko reprezentacye gminne mniejszości utrzymują zbiorowo delegatów przy urzędach pierwszej instancyi dla ułatwiania rodakom stosunków z władzą przez tłomaczenia itp.

Wreszcie stopień trzeci: organizacya całego narodu w państwie. Każda z ośmiu narodowości *) ma własny parlament narodowy, wybierany w głosowaniu powszechnem i równem w ten sposób, że każdy jednonarodowy okrąg danej narodowości wybiera trzech posłów, każda większość okręgowa — dwóch, każda mniejszość okręgowa — jednego; oprócz tego każda narodowość ma swego ministra, czyli sekretarza stanu, mianowanego przez cesarza, ale odpowiedzialnego przed parlamentem narodowym. Parlament narodowy rządzi sprawami autonomicznemi narodu w całem państwie, ustanawia podatki narodowe (bezpośrednie). Na tym stopniu organizacyi poznajemy też, w jaki sposób naród opiekuje się członkami swymi, rozsianymi po całem państwie w takich miejscowościach, gdzie jest ich zamało, aby utworzyć uznaną mniejszość. Narodowy sekretarz stanu utrzymuje przy urzędach i sądach w takich terytoryach swoich delegatów, adwokatów, coś w rodzaju konsulów, którzy obowiązani są nieść pomoc rodakom, pośredniczyć, służyć za tłomaczów itp. Dla ułatwienia i zmniejszenia kosztów tej organizacyi konsularnej mogą dwa narody przez swych sekretarzy stanu i swe parlamenty zawrzeć ugodę, na mocy której każdy z nich w swych jednojęzycznych okręgach lub w części ich, przyjmuje podania i załatwia także sprawy w mowie drugiego. Umowy takie są możliwe, bo narodowość jest osobistością prawną, odpowiedzialną za swe zobowiązania swym majątkiem, podległą trybunałom państwowym. W ten sposób rozwiązuje się sprawa języka urzędowego ze stanowiska potrzeb ludności, nierozwiązalna dziś, gdy kłócą się o nią sami urzędnicy, albo klasy, głównie urzędników dostarczające.

Obowiązkiem każdego narodowego sekretarza stanu jest wydawać w swoim języku dziennik urzędowy, spis praw i sprawozdania z parlamentu państwowego. Nie istnieje jakiś jedyny dziennik urzędowy w jedynym języku urzędowym.— Tu przechodzimy do organów państwa, jako całości, które istnieją obok autonomiczno-narodowych i w projekcie Springera mają nad tymi ostatnimi stanowczą przewagę.

Już w gminie jest ogólna rada gminna, dalej — powiatowa i okręgowa, wybierane przez wszystkich mieszkańców, tak jednak, że na każdą narodowość przypada proporcyonalna ilość przedstawicieli. Jest wójt albo burmistrz, wybierany przez radę. Prezesem rady okręgowej jest starosta, który jest zarazem urzędnikiem rządowym. Mianuje go cesarz, a nominacyę podpisuje minister spraw wewnętrznych; aby jednak urzędnik taki nie był wrogi dla narodowości, wśród której urzęduje, nominacyę jego kontrasygnować musi jeszcze i sekretarz stanu danej narodowości, jeśli okrąg jest jednonarodowy, lub też obydwaj sekretarze stanu — w okręgach dwunarodowych. Starosta jest jednak podwładnym ministra spraw wewnętrznych, który może dać mu dymisyę; a zastępca starosty mianowany jest przez samego tylko ministra. Władza państwowa ma więc silne gwarancye, tembardziej, że organy jej, wójt lub burmistrz, komisarz powiatowy i wreszcie starosta — mają kontrolę nad samorządem narodowym: każdy akt władzy wykonawczej prezesa narodowego musi być podpisany i przez kompetentnego urzędnika państwowego! Z drugiej znów strony za to w sprawach samorządu terytoryalnego zarząd gminny lub okręgowy stanowią wójt, burmistrz lub starosta razem z prezesami narodowymi, a potrzeby narodowości są w służbie rządowej o tyle uwzględniane, że na ogólną liczbę urzędników każdej rangi zawsze musi być odpowiedni procent danej narodowości, oraz że nominacya ich jest przed ogłoszeniem komunikowana sekretarzom stanu narodowym w celu zrobienia swych uwag. Powyżej starosty jednak i odpowiednich stopni w sądownictwie i innych wydziałach rząd jest niezależny od narodowości, może mianować jakich chce urzędników na całej przestrzeni państwa. Podług swoich też wyłącznie potrzeb i względów łączy okręgi w większe prowincye z namiestnikami na czele, którzy stanowią tylko instancyę pośrednią, dozorującą, nie rozstrzygającą. Na tych wyższych stopniach wewnętrzny język administracyi musi być jeden — niemiecki; musi też on być wykładany w każdej szkole średniej, a z drugiej strony w szkołach niemieckich musi być wykładany jeden z języków narodowości, uznanych w państwie.

Ministrowie odpowiedzialni są przed parlamentem państwowym, który jest wybierany w głosowaniu powszechnem i równem, przyczem już narodowość wyborców ani kandydatów nie jest wcale uwzględniana, tylko wprowadzona zostaje zasada reprezentacyi proporcyonalnej stronnictw. W parlamencie wolno każdemu, jeśli chce, mówić swoim językiem; sekretarze stanu każdej narodowości utrzymują w parlamencie tłomaczów i stenografów. Parlament jest głównym organem jedności państwa. Do niego należy prawodawstwo i kontrola rządu we wszystkich rzeczach, nie pozostawionych autonomii narodowościowej; co większa, on, jako ciało konstytuujące, określa granice tej autonomii i może je, w razie koniecznym, zmniejszać. Tak np. wszelkie wtrącanie się do polityk zagranicznej jest parlamentom narodowym jak najsurowiej wzbronione. Główną ich atrybucyą jest, jak już wspomnieliśmy, szkolnictwo; możnaby powiedzieć, że narodowi sekretarze stanu, to głównie — dotychczasowy minister oświaty w wielu osobach. Jednak i tu prawodawstwo państwowe określa wymagania minimalne, programy urzędowe szkół elementarnych, średnich i uniwersytetów, a pozostawiając narodowościom wewnętrzną organizacyę szkół, ich ilość i — opłacenie całej organizacyi, rząd kontroluje wykonanie programów przez swych wiz ytatorów, i rządowi też egzaminatorowie udzielają stopni naukowych.

Prawodawstwo ogólno-państwowe ma być do tego stopnia uniezależnione od względów narodowych, że sekretarzom na-

*) Niemcy — 8,46 miliona, Czesi — 5,47, Polacy — 3,72, Rusini 3,1, Słowacy — 1,18, Serbo-Chorwaci — 0,64, Włosi — 0,67, Rumuni — 0,21. Springer ma na myśli z początku jedynie Przedlitawię, sądzi jednak, że taka reforma musiałaby oddziałać i na drugą połowę monarchii, obalić dualizm, oddający Słowian na łup Madziarów, i sprowadzić tych ostatnich również do roli jednej z narodowości. Wówczas ilość Serbo-Chorwatów znaczniejby się powiększyła, przybyliby też Słowacy. Możeby też kiedyś i Żydzi sięgnęli po organizacyę narodową. Więc razem—tuzin narodowości!

---

gdy wśród ciemności zabłysły światła Clermontu, a nad niemi, w bladym blasku księżyca, zarysowały się ciemne, kopułowate sylwetki wulkanów Owernii.

Nazajutrz rano wybrałem się na zwiedzenie miasta i jego okolic. Miasto obumarłe, szare, po części od bazaltu, po części od brudu. Wieśniaczki owernijskie chodzą rano po mieście z blaszankami mleka na głowach, wołając śpiewnie: „voulez-vous d'lait?“ Większe partye mleka są rozwożone na wózkach dwukolnych, z bardzo wysokiemi kołami, ciągnionych przez osły, których nieprzyjemne ryczenie, niby zachrypłej krowy, lub jakiejś nienasmarowanej maszyny drewnianej, budzi tu człowieka od wczesnego rana.

Wszedłszy do restauracyi, kazałem sobie podać herbaty; kelner postawił przede mną małą, kanciastą flaszeczkę z kapslem, opatrzonym dziurkami, wypełnioną jakimś żółtawym płynem, coś, jak flakonik z perfumami— i znikł. Osłupiałem, nie wiedząc, jak się wziąć do tej „herbaty“; na szczęście kelner zjawił się powtórnie z imbrykiem, zawierającym prawdziwą herbatę; pytam o przeznaczenie zawartości flakonika. Objaśnia, że to wlewa się do herbaty dla zapachu. Wącham, „pachnie“ zupełnie jak perfumy, któremi w Warszawie darzą nas fryzyerzy po ostrzyżeniu, tak iż przez parę dni jesteśmy postrachem otoczenia. Dziękuję za taki aromat w herbacie!

Po śniadaniu zwiedzam źródło inkrustujące, St. Alyre; wypływa ono z wapienia jeziornego, a zawierając kwas węglany, rozpuszcza wiele węglanu wapnia; w miarę, jak kwas węglany uchodzi w powietrze, wapień wydziela się i osadza na dnie i brzegach strumienia, tworzy naturalne mosty i groty. W jednej grocie woda spływa po umyślnie urządzonych schodach, na których poustawiano różne przedmioty, przeznaczone do skamienienia; są to np. kwiaty, owoce, jaja, raki, gniazda ptasie, koszyki, kauczukowe reliefy. Jestto fabryka skamieniałości. Podobno na skamienienie drobnego przedmiotu potrzeba dwudziestu dni, na skamienienie wielkiego, jak np. krowy, — dwu lat. Do groty tej przywiązane jest podanie, że skamieniała w niej niegdyś para zakochanych.

Wody tego źródła wlewają się do rzeczki Tirtaine, która jak i inne rzeczki, płynące tu do Allieru, używana jest na sztuczne nawadnianie, gdyż Limagne, otoczona zewsząd prawie górami, otrzymuje bardzo mało deszczu (tylko około 500 mm. rocznie). Resztę dnia zajęło mi przygotowanie się do wycieczki na Puy de Dôme, pisanie listów i włóczęga po mieście.

Trotuary tutejsze mało są używane do chodzenia, nie zasługują na nazwę „chodników“: właściciele sklepów stawiają tu sobie krzesła, na których odpoczywają, otrzepują zakurzone rzeczy, palą sobie kawę w wielkich, kulistych, obracających się piecach itd. Naturalnie, że wystawki restauracyj i kawiarni zajmują też całe trotuary; tutaj odbywają się tingel-tangle — jedyne prawie oznaki życia wśród obumarłego miasta; wieczorem, około jedenastej, rozlegają się one dalekiem echem wśród pustych ulic.

Clermont ma bardzo piękne położenie w zatokowatem zagłębieniu, w którem żyzna równina Limagne wrzyna się w pokryte winnicami zbocza wyżyny Owernii; zagłębienie to ma kształt półkolisty; na południu ogranicza je wybiegająca z wyżyny, niby przylądek, bazaltowa platforma Gergovii; na zachodzie stromy, granitowy postument właściwej wyżyny, na której grzbiecie wznoszą się liczne puys, a między nimi dominuje w środku Puy de Dôme; północną granicę stanowi pokryty winnicami Puy de Champturgue. Na wschód rozciąga się rozległa równina Limagne, ograniczona w dali górami Forez.

(D. n.)

rodowym nie wolno nawet ukazywać się w parlamencie państwowym. Gdyby ten ostatni chciał zmieniać zakres autonomii narodowej, to sekretarze stanu łączą się w radę pod przewodnictwem prezesa ministrów, czyli kanclerza, i ten dopiero komunikuje parlamentowi zdanie ich większości. Narodowych sekretarzy stanu mianuje i odwołuje cesarz na wniosek kanclerza, są więc oni z jednej strony zależni od niego, czyli pośrednio — od większości parlamentu państwowego, z drugiej — od zaufania swego parlamentu narodowego. Zatargi i nieporozumienia co do kompetencyi różnych władz rozstrzygają najwyższe trybunały: konstytucyjny i administracyjny. Springer, który bardzo wogóle dba o to, aby jego projekty miały cechę wykonalności natychmiastowej — „jeśli tylko austryaccy mężowie stanu będą mieli dość rozumu i energii“ — zachowuje te trybunały bez zmiany, zachowuje także nawet drugą Izbę parlamentu, Izbę panów, mianowanych dowolnie przez cesarza! Wreszcie wprowadza on nową instytucyę: radę koronną. Ma ona charakter czysto doradczy: zadaniem jej jest — informować monarchę, wpływać na jego postanowienia, a to przez zapoznawanie go ze wszystkimi w grę wchodzącymi interesami i prądami. W tym celu do rady koronnej mają należeć: kanclerz, ministrowie, wszyscy narodowi sekretarze stanu, prezesi obu Izb parlamentu, trzech trybunałów najwyższych, wreszcie pewna ilość osobistości nieurzędowych, powołanych przez cesarza. Autor nie zapomina nawet dodać, że następca tronu obowiązany jest także bywać na posiedzeniach rady koronnej...

Zobaczymy teraz wreszcie, jakie znaczenie można przyznać temu programowi w rzeczywistem życiu politycznem Austryi i o ile rozstrzyga on zagadnienie.

*K. Radosławski.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Posłowie cesarsko-rosyjski i austro-węgierski w Konstantynopolu doręczyli d. 21 b. m. projekt reform w trzech wilajetach Macedonii, a w Wiedniu d. 23 b. m. urzędownie projekt ten ogłoszono. Oto jego zawartość: 1) inspektor generalny nad wszystkimi walimi, z władzą wojskową; 2) reorganizacya żandarmów przez Europejczyków, dopuszczenie chrześcian na oficerów, a dobór szeregowców chrześcian lub Turków według wyznania ludności miejscowej; 3) straż polna chrześciańska przeciw Arnautom; 4) amnestya polityczna; 5) budżet wilajetowy pod kontrolą Banku otomańskiego; 6) zniesienie dzierżawy dziesięcin. Ponieważ sama Porta już ustanowiła inspektorat (artykuł wstępny nr. 50 *Prawdy* z r. 1902), a nawet ma już kandydata, Nauma z Libanu, ponieważ sama zapowiedziała ulepszenia w żandarmeryi i gospodarstwie podatkowo-ekonomicznem w wilajetach, żądania zatem mocarstw działających, poparte przez wszystkie inne.

Porta ciągle swój korpus macedoński uzupełnia, zaopatruje w środki bojowe; Bulgarya robi pocichu to, co robiła z krzykiem, swoje dywizye ma już gotowe do wyruszenia na pogranicze, a Sarafow, któremu zapewne pozwolono uciec, według telegramu zorganizował już siedem oddziałów po 200—300 ludzi, aby z wiosną nie usłuchać — a może i usłuchać — dyplomacyi.

Na Węgrzech nadzwyczaj silny ruch przeciwko projektowi pomnożenia armii i zaciągu do niej, przyjętemu z dawno już niebywałem w Przedlitawii szczęściem przez Radę państwa (d. 20 b. m.). Odżyły wszystkie dawne pożądliwości, odrębność wojskowa jako ideał przybywa do politycznej, nawet dynastycznej, jeżeli uwzględnimy, bardzo silne, natężenie republikanizmu w stronnictwie, które najżarliwiej staje w obronie interesów narodowych. Dobrze jeszcze będzie, jeśli się wszystko skończy na cofnięciu projektu, który w takim razie upadnie w Przedlitawii w stanie gotowej już uchwały sejmowej. — Wniesione przez stronnictwa katolickie i liberalne niemieckie, wraz z Kołem polskiem zmiany w regulaminie Izby dep., wsiąkną w piasek niemiecki: sprawozdawcą i redaktorem zamianowała komisya tej Izby zaciekłego liberała, Grabmayra, który nieradby zatrzaskiwać wrót przed obstrukcyą. Skończy się wszystko na drobnostkach, na dzisiejszej bezwładności prezydenta— i na wiecznej obstrukcyi *in potentia*. Tu znowu Koło dało dowód niedołęztwa.

Stosunki pomiędzy rządem francuskim a Watykanem naprężone o owych trzech biskupów. Litera konkordatu z d. 15 lipca 1801 r. dawała Francyi prawo mianowania ostatecznego, ale zwyczaj ustalił był uprzednie porozumiewanie się z Rzymem. P. Combes zwyczaj odrzucił, za literą poszedł. Nietylko ta jedna, ale wszystkie zgoła litery konkordatu zawartego za pierwszego konsula, który już dojrzewał na cesarza, są dzisiaj przeżytkiem dla rzeczypospolitej, jeśli ta chce być prawdziwie republikańską i demokratyczną.

Pretendent marokański po pierwszej klęsce doznał drugiej. Zbiegł do jednej z gromad zbuntowanych i tam czeka, aż sułtan jego głowę zawiesi sobie nad tronem. Europa na świeży widok barbarzyństwa nie drgnęła; nietylko dyplomacya, ale i liczne stowarzyszenia, apostołujące pokój, ludzkość i prawa człowieka — nie wydały z siebie nawet najcichszego szeptu, że wypadałoby skorzystać z okoliczności i zapowiedzieć sułtanowi, iż ścinanie głów żywym i zawieszanie ich na tryumf będzie ścigane tak, jak korsarstwo na morzu, a wszelkie lekceważenie woli Europy pociągnie za sobą zniesienie rządu, który barbarzyństwem paraduje. To, co tu pisano o porozumieniu się Francyi z Anglią, jest jak najzupełniejszą prawdą: oba mocarstwa pozostawiłyby tylko środkowy wycinek około Tangeru i Gibraltaru Hiszpanii — Francya nigdy nie dałaby go Anglikom, ani też Anglicy Francyi — wschód zabrałaby Francya do Algeryi, zachód od Atlantyku państwo, o którem z daleko większą ścisłością niż o państwie Karola V powiedzieć można, że w niem słońce nie zachodzi.

Ministrowie angielscy wykłamują się z Wenezueli. Balfour miał tym razem mowę w Izbie gmin. Liberalni — wykazać mają dowodami, że nie król Edward, ale sami ministrowie dali się nakłonić Wilhelmowi II do niedorzecznej, angielski rozum stanu tylko zniesławiającej wyprawy.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

## RACHUNKI SPOŁECZNE.

Początek życia i działania zbiorowego u nas. — Narady rolników. — Towarzystwa wzajemnego kredytu. — Stowarzyszenia wzajemnej pomocy wśród rzemieślników. — Towarzystwa i spółki chłopskie. — Objawy przesiąkania idei zrzeszania się na prowincyi. — Słówko o dobroczynności tańcującej i żebrzącej. — Hygiena na prowincyi. — Dzień roboczy. — Nauka terminatorów. — O samorząd wiejski. — „Niewesoły bilans.“ — 500 numer *Ech Płockich i Łomżyńskich*.

Wstąpiliśmy, jak powiada jeden z publicystów, w znak działalności zbiorowej. Po długiej przerwie, społeczeństwo nasze otrzymało możność zawiązania całego szeregu stowarzyszeń ekonomicznych, których działalność powinna być rozpatrywana przez szerokie koła z natężoną uwagą.

Pierwszeństwo pod tym względem należy się rozmaitego rodzaju zrzeszeniom rolników większych, których obradom przysłuchujemy się od 2 miesięcy. Po latach blizko czterdziestu zupełnego braku towarzystw rolniczych, rozwinęły się one szybko we wszystkich guberniach Królestwa. Powstały zrzeszenia dwóch typów: w 4 guberniach Towarzystwa rolnicze, obejmują całokształt potrzeb rolniczych, w 6 zaś pozostałych mają działalność ograniczoną do zakresu spółki o celach praktyczno-handlowych.

W ostatnich czasach ziemiaństwo w sprawach ogólniejszych, nie przekraczających specyalności zawodowej, zostało powołane do głosu w komitetach gubernialnych i Radach rolniczych, mających opracować szereg memoryałów dla rozpatrzenia nadzwyczajnej Rady rolniczej, obradującej w Petersburgu nad potrzebami rolnictwa w całem państwie. Dało to możność wypowiedzenia się przedstawicielom całego stanu większej i średniej własności ziemskiej. Szczegółowe sprawozdanie z tych narad musimy odłożyć, do ich ukończenia, i ogłoszenia rezultatów, a teraz przejdziemy do innej postaci zrzeszania się u nas. Chcę mówić o stowarzyszeniach pomocy wzajemnej w naszych miastach prowincyonalnych. Przedewszystkiem zasługuje na zaznaczenie ich umiejętność przystosowania się do najróżnorodniejszych warunków miejscowych. Łomżyńskie np. Stow. drobnego kredytu pierwsze bodaj usiłuje działalność swoją rozciągnąć na okoliczne i tysiącem interesów z miastem związane gminy wiejskie; Sosnowieckie — stara się objąć jak można najszersze masy — za pomocą bardzo nizkich wkładów (5 rubl.) i drobnych pożyczek (od 10 rb.). Najdalej zaś bodaj w tym kierunku poszło Tow. pożyczkowo-oszczędnościowe w Wołominie, które przy najniższym wkładzie 10 kop. stara się zaspokoić możliwie wszystkie potrzeby stowarzyszonych i nietylko udziela im wszelkiego rodzaju kredytu, lecz pośredniczy w poszukiwaniu pracy, tranzakcyach handlowych, handlu artykułami spożywczymi itd. Wewnątrz tego ruchu z przykrością musimy zaznaczyć objaw wrogiego usposobienia dla Żydów, których w Radomiu np. i Zamościu usunięto od udziału w nowo-powstających takich stowarzyszeniach. Nie mając pod ręką szczegółowych danych statystycznych, trudno określić ściśle ilość stowarzyszeń, istniejących obecnie, w każdym razie z całą pewnością twierdzić można, że przechodzi o wiele urzędową liczbę 60, z roku 1901. W styczniu bowiem r. b. ministeryum skarbu zatwierdziło cztery nowe stowarzyszenia tego rodzaju: w Konstantynowie (udziały 5 rb.), Tomaszowie, Nowym Dworze i Włodawie. Ruch stowarzyszeniowy obejmuje coraz szersze masy; Płońsk np. posiada Towarzystwo wzajemnego kredytu z 330 członkami i przeszło milionowym obrotem rocznym, oraz Tow. drobnego kredytu, rozciągające swą działalność na okolice, liczące przeszło 1000 członków i wydające rocznie 113,000 pożyczek.

O życiu i działalności stowarzyszeń drobnego kredytu dużo będzie mógł powiedzieć zjazd ich przedstawicieli, mający się odbyć pod koniec roku w Warszawie. Między innemi ma być rozpatrywane założenie ogólnej instytucyi bankowej, zastosowanej do ich potrzeb.

Po za towarzystwami wzajemnego kredytu powstają i mnożą się ciągle inne instytucye pomocy wzajemnej. Pomijając niezliczoną ilość podań o zatwierdzenie wszelkiego rodzaju kas „pogrzebowych,“ „posagowych,“ „macierzyńskich“ itp., zaznaczyć musimy dwa projekty zrzeszeń rękodzielni-

ków, szeroko omawiane w *Gazecie Rzemieślniczej*. Jedno, tak zwane „Warszawskie Tow. pracujących na polu sztuki stosowanej,“ organizuje grono rzemieślników warszawskich w celu wzajemnej pomocy materyalnej, dostarczeniu młodym pracownikom możności doskonalenia się w swej specyalności, oraz rozwoju życia towarzyskiego. Drugiem takiem zrzeszeniem się jest spółka udziałowa „Dom rzemieślniczy,“ mająca powstać w Radomiu, w celu wybudowania lub wynajęcia gmachu na pomieszczenie sklepów i warsztatów stowarzyszonych. Jednem z zadań, które sobie spółka postawiła, jest polepszenie warunków hygienicznych i technicznych—zdrowia i produkcyi klasy rzemieślniczej, która nigdy nie należała do najsilniejszych i najzdrowszych.

Wśród warstw pracowników najemnych musimy zaznaczyć staranie kelnerów łódzkich o założenie towarzystwa, mającego na celu podniesienie moralne i umysłowe, oraz zabezpieczenie bytu materyalnego tego odłamu pracowników; prócz tego zatwierdzono „Towarzystwo wzajemnej pomocy podmajstrzych fabryk metalurgicznych w Łodzi.“ Ustawie tego ostatniego stowarzyszenia *Gazeta Rzemieślnicza* słusznie zarzuca, że nie wychodząc po za ramy ogólnej ustawy rzemieślniczej z 1816 roku, nie uwzględnia omawianej tam szeroko sprawy wychowawczo-kształcącej. „Dziwne, że ktoś prosi o kawał tego, z czego w całości wolno mu już korzystać. Skromność to — ale szkodliwa ze względów ogólniejszych“ kończy *Gazeta*.

Jeśli teraz przeniesiemy się na wieś, to ujrzymy z przyjemnem zdziwieniem, że idea zrzeszania się porywa i tego mniemanego zacofańca — indywidualistę — chłopa, a porywa go zupełnie samodzielnie bez najmniejszego w tem udziału, a nawet kierownictwa dworu, gdzie, jak powiada korespondent *Tygodnia*, przeważa zdanie: „najpierw radźmy, aby nam było lepiej, a później poradzimy chłopu.“ To też chłop sam sobie doskonale radzi. Włościanie z okolic Słomnik zakładają udziałowy sklep w tej osadzie; w Służewie i Rzeczycy powstają rejentalne spółki włościańskie dla sprowadzania artykułów codziennych potrzeb, nasion i narzędzi rolniczych; ich inicyatorowie, jak donosi *Goniec Łódzki*, przed założeniem instytucyi, jeździli do pow. Miechowskiego, aby przypatrzeć się istniejącej tam podobnej spółce w Woli Bukowskiej. *Echa Płockie* donoszą znowu o krzątaniu się włościan płońskich około zorganizowania spółki włościańskiej na wzór „Jutrzenki.“ W *Tygodniu* znajdujemy wiadomość o powstałym wśród włościan w pow. Rawskim projekcie wzajemnego ubezpieczenia od „upadku bydła“; w temże piśmie czytamy też o innym niebywałym fakcie: spółka chłopska kupiła za 17,500 rb. lasy do wycięcia w donacyi Czarnocin, zwyciężając w walce konkurencyjnej spółkę żydowską, od lat kilkunastu prowadzącą wycinanie lasów w tej miejscowości. Widzimy więc, że powoli dawny chłop, ofiara sentymentalno-ideowych zapędów wszelkiego rodzaju ludowców miejskich, coraz dalej niknie we mgle wraz z pastuszkiem sielankowym, a na scenę życia występuje energiczny chłop-kapitalista, doskonale umiejący chodzić około swych interesów.

Zrzeszamy się więc wszędzie i poczucie zbiorowości zaczyna potroszę przenikać prowincyę, co znowu odbija się w traktowaniu spraw społecznych przez niektóre pisma prowincyonalne. Zaznaczyliśmy niedawno głos *Kuryera Sosnowickiego*, wzywający spożyców węgla do organizowania się dla walki ze zmową wytwórców i składników; dziś znowu z przyjemnością czytamy w *Gazecie Radomskiej* odezwę p. S. B., w której przedstawiwszy gorąco straszny los bezdomnych, obłąkanych wzywa, o dziwo! nie do urządzenia balu „na waryatów,“ lecz do zaradzenia złemu przez energiczne współdziałanie. Za objaw żywszego zainteresowania się myślą samopomocy i zrzeszania się można też uważać podaną przez *Tydzień* notatkę o pierwszem u nas, a bodaj w Europie całej, Towarzystwie drobnego kredytu dla włościan: „Składka na sprzężaj,“ założonem w 1715 r. przez Ks. Jordana w Pabjanicach, które obejmowało czterdzieści kilka wsi.

Być może myśl pomocy wzajemnej zapanuje wkrótce w naszej działalności społecznej i ekonomicznej, rugując tak dziś wszechwładny system zaradzania najpilniejszym potrzebom za pomocą prośby o datek lub urządzenia balu publicznego. Może wówczas inaczej się przedstawi budżet zakładów, zostających pod zarządem warsz. Tow. dobroczynności, który dziś ma dwudziestotysięczny i wciąż wzrastający deficyt, gdyż według słów prezesa, ofiarność słabnie i „nawet zabawy i przedstawienia dają rezultaty coraz słabsze.“ Wogóle kwestya filantropii naszej, zdająca najpilniejsze braki i obowiązki społeczne na łaskę i niełaskę żebraniny, lub jeszcze wstrętniejszej dobroczynności tańcującej, musi uledz gruntownej krytyce i rewizyi. Początek dały już rozprawy ks. Kirchnera i Bol. Prusa w *Bluszczu*, *Słowie* i *Kuryerze Codziennym*; lecz walka będzie ciężka wobec zakorzenionych przesądów, czego dowodem choćby fakt, że Kasa literacka figuruje także na liście instytucyj, wspomaganych przez nóżki warszawianek.

Zbiorowych sił również wymaga więcej ożywiona w ostatnich czasach działalność na polu hygieny publicznej. Tow. hygieniczne otworzyło na prowincyi dwa oddziały, w Łodzi i Lublinie. *Gazeta Lubelska* wzywa energicznie do masowego zapisywania się w szeregach Towarzystwa dla społecznej walki z przedwczesną starością, przedwczesną śmiercią i kalectwem. *Goniec Łódzki* w dłuższym artykule zwraca uwagę na działalność Tow. wśród mas pogrążonych w nędzy, od których zdrowotności zależy zdrowie i pomyślność warstw t. zw. wyższych.

Ostatnimi czasy zajęto się też pilniej palącą kwestyą nadmiernego dnia roboczego dla pracowników, nieobjętych przez prawodawstwo fabryczne. Zmniejszenie godzin pracy dla subjektów handlowych weszło nareszcie na racyonalną drogę interwencyi prawodawczej i niedługo zapewne stanie się faktem dokonanym. Tymczasem jednak mamy w tej sprawie do zanotowania uchwałę rady miejskiej Białegostoku, zakazującą subjektom i uczniom handlowym pracować w sklepach po godz. 9-ej wieczorem. Sekcya rzemiosł w Muzeum przemysłu i handlu zaznaczyła konieczność interwencyi prawodawczej w uregulowaniu dnia roboczego w warsztatach rzemieślniczych, a delegacya pracy kobiet podniosła sprawę nadmiernego wyzysku szwaczek warszawskich; zajęto się też żywiej dolą tych, o wiele więcej w powiastkach, niż w życiu, wesołych i figlarnych terminatorów. Sekcya rzemiosł w Warszawie uchwaliła nareszcie powiększenie liczby szkół dla terminatorów i przeniesienie nauki na dni powszednie. W Kaliszu staraniem grona inteligencyi tamtejszej otworzono dla młodzieży rzemieślniczej wieczorne kursy rysunków przy oddz: Tow. pop. roś. przem. i handlu.

Bardzo ważną sprawę dla naszego samorządu wiejskiego poruszyły pisma codzienne w końcu stycznia. Chodziło o mianowanie pisarza gminnego. Niezbyt dawno pisarz gminy Jasieniec, Daszkiewicz, mianowany przez przedstawicieli gminy, został złożony z urzędu przez naczelnika powiatu Grójeckiego, który naznaczył na jego miejsce inną osobę. Zebranie gminne z wójtem Janorem na czele nie uznało decyzyi naczelnika powiatu i odwołało się do władz wyższych. Wywiązały się komplikacye, którym nareszcie położył kres okólnik gubernatora warszawskiego, uznający pośrednio legalność postępowania gromady gminy Jasieniec i przypominający naczelnikom powiatów i komisarzom włościańskim konieczność ścisłego przestrzegania § 77 Najwyższego Ukazu z d. 19 lutego 1864 r.: napomnienia prezesa czasowej komisyi z d. 17 maja 1874 r., tyczące się mianowania pisarzy gminnych. Wywołało to ożywioną polemikę w prasie. W *Warsz. Dn.* artykuł, podpisany przez „Komisarza,“ radził załatwić sprawę przez zmianę odpowiednich ustępów Najwyższego Ukazu i nadanie naczelnikom powiatu wyłącznego prawa mianowania pisarzy. Projekt ten spotkał się z zupełnie racyonalną odprawą w innych pismach warszawskich, *Słowie* i *Gazecie Polskiej*, które wykazały, że krok ten byłby zniweczeniem samorządu gmin, do czego przecież prawodawca nie dążył przed laty 40 i nie dąży obecnie. Przyczem pisma te wypowiedziały się za podniesieniem cenzusu umysłowego, wymaganego od kandydatów na urząd wójta. Spór odbił się szerokiem echem w prasie prowincyonalnej.

Na zakończenie niech nam wolno będzie przesłać kilka słów serdecznego uznania najżywotniejszemu i bodaj najlepiej prowadzonemu organowi prowincyi — *Echom Płockim i Łomżyńskim*, które wydały w tym właśnie czasie numer oznaczony cyfrą 500. W numerze tym redakcya zgromadziła barwną mozaikę utworów i aforyzmów 50 przeszło współpracowników swoich, dając grupowe odbicie myśli poważnego zastępu inteligencyi prowincyonalnej, wierne zasadzie, którą ogłosiło na wstępie: „Zawsze oglądaliśmy się na to, ażeby szperacz mógł w rocznikach znaleźć możliwie wierny obraz współczesności, aby przedstawione sprawy i rzeczy uwydatniały się jasno i przejrzyście, aby łatwo mógł wnioskować o wszystkiem, co się tyczy życia i usposobienia naszego zakątka w danym czasie.“

*J. Dąbrowski.*

## Z nad Warty i Odry.

Ruch przedwyborczy. — Katolikowcy i demokraci narodowi na Górnym Śląsku. — Bankructwo socyal-hakatyzmu. — Prusy Zachodnie. — Kandydatury „redaktorów.“ — Zajście w Czytelni dla kobiet w Poznaniu.

Sprawy wyborów do parlamentu odsunęły na plan dalszy prawie wszystko, co zwykle zaprząta umysły społeczeństwa polskiego pod panowaniem pruskiem. Bo też istotnie zbliżające się wybory, pomimo swej zwykłej doniosłości, posiadają pewne cechy znamienne, świadczące o przełomie, zarysowującym się w życiu politycznem polskich dzielnic w Prusach. Kiedy dawniej każda z tych prowincyj załatwiała swe sprawy wyborcze bez wielkiego zainteresowania się niemi innych, to dziś ruch przedwyborczy przybrał charakter ogólno-krajowy, a główna uwaga społeczeństwa skierowuje się przedewszystkiem na to, co się dzieje na Górnym Śląsku i w Prusach Zachodnich. Poznańskie jak gdyby usunięte zostało na plan dalszy.

Zwłaszcza wszystkich zaciekawia rozwój wypadków na Górnym Śląsku. Donosiłem już o pertraktacyach, toczących się pomiędzy p. Napieralskim, wydawcą *Katolika* a obozem *Górnoślązaka*, zorganizowanym w Towarzystwo wyborcze. Chodziło o to, aby centrum ustąpiło w paru okręgach miejsca dla kandydatur *Górnoślązaka*. Wzamian za to demokraci narodowi mieli poprzeć kandydatów centrowych, o ileby ci byli Polakami, w innych okręgach zrzekali się z góry wysuwania kontrkandydatów przeciwko dotychczasowym posłom

centrowym — Szmuli i Strzodzie. Te układy nie doprowadziły jednak do żadnego wyniku z tego powodu, że kierownik *Katolika* nie mógł poczynić dość daleko idących ustępstw wobec uzależniających go od centrum zobowiązań. P. Napieralski jest człowiekiem zbyt rozumnym, aby nie widzieć, że sprawa wyzwolenia się z pod kierownictwa centrum dojrzała już zupełnie na Górnym Śląsku. Pojmuje on dobrze, że, zrywając otwarcie z centrum, *Katolik* na długi jeszcze szereg lat zapewniłby sobie panowanie nad olbrzymią większością górnośląskich mas ludowych, zwłaszcza w okręgach przeważnie rolniczych. Lecz, z drugiej strony, zobowiązania względem centrum, przyjęte jeszcze w dawnych czasach, zmuszają go do bronienia sprawy, której sam z góry nie może nie uważać za przegraną. Stąd wywiązała się walka, posiadająca niezbyt sympatyczny charakter. *Górnoślązak* komunikuje, że p. Napieralski „wynajął całą armię ludzi, którzy za dobrą zapłatę latają po świecie i zohydzają *Górnoślązaka*... *Katolik* gwałci ludzi, u niego pracujących, za ich przekonania polityczne. Agentów i kolporterów pozbawia chleba za to, że mają także *Górnoślązaka*... *Katolik* z wszystkich instytucyj, w których ma wpływy, stara się wysadzić tych ludzi, którzy się nie godzą na jego politykę.“ P. Korfanty i jego drużyna odpłacają p. Napieralskiemu pięknem za nadobne, zwłaszcza od czasu, kiedy się okazało, że *Katolik* żadnych ustępstw czynić nie będzie.

Dla zadokumentowania swej bezgranicznej uległości centrum p. Napieralski ogłosił kandydatury w dwóch okręgach przemysłowych, gdzie demokraci narodowi od *Górnoślązaka* mogliby przy wspólnych z *Katolikiem* kandydaturach liczyć najbardziej na zwycięztwo. Kandydatury *Katolika* są dość sprytnie wybrane.

Mianowicie w okręgu Katowice-Zabrze, gdzie najwięcej widoków posiada p. Franciszek Morawski, kandydat polskich, a zarazem i niemieckich (po cofnięciu socyalhakatystycznej kandydatury p. Pokorny'ego) robotników, p. Napieralski wysunął za zgodą centrowców kandydaturę robotnika-Polaka, niejakiego p. Królika. P. Królik był przez czas dłuższy prezesem Związku robotników chrześciańskich, zwanego na Śląsku Związkiem „daremnej“ pomocy. Jakkolwiek działalność tego Związku polskim robotnikom żadnego pożytku nie przynosi, to jednak p. Królik zdobył sobie pewną popularność wśród najbardziej jeszcze zacofanej części górników oraz hutników i może liczyć na ich poparcie. Mówcą jest dobrym. Jako były górnik, zna dobrze warunki życia i pracy górników i wogóle robotników górnośląskich. *Katolik* zaleca p. Królika, mówiąc o nim: „Przedewszystkiem jednak jest p. Królik stałym charakterem. Nie chwieje się to na prawo, to na lewo, nie patrzy, skąd wiatr wieje, tylko postępuje zawsze wiernie podług zasad, jakie za słuszne uznał. Zasady te zaś są zasadami prawdziwego chrześcianina, wzorowego katolika i dobrego syna ludu polskiego.“ W przekładzie na język zwykły charakterystyka ta brzmi: p. Królik jest ślepem narzędziem centrum, *Katolika* i klerykałem, a o swem pochodzeniu z ludu polskiego nie zapomni, jeśli mu na to pozwolą interesy katolicyzmu, klerykalizmu, centrum i *Katolika*. *Dziennik Śląski*, też organ polsko-centrowy, tak przemawia do ambicyi robotników, polecając kandydaturę p. Królika: „Honor pracującego ludu polskiego i dobro robotników tego wymaga, ażeby ten kandydat nad wszystkimi przeciwnikami odniósł zwycięztwo. Niech się pokaże, że pogardzony lud polski wydał z pomiędzy siebie robotnika, który posłem być potrafi i że robotnicy górnośląscy umieją sami dzielnie starać się o swoje sprawy.“

W okręgu Bytom-Tarnowskie Góry *Katolik* postawił kandydaturę księdza Kapicy z Tychów, również Polaka, znanego szerszym kołom ludu, jako krzewiciela wstrzemięźliwości na Śląsku. Ksiądz otoczony jest na Górnym Śląsku szacunkiem w bardzo znacznych liczebnie sferach ludności, a że uważa się za Polaka, stanowi tak rzadki wśród księży wyjątek, że już to samo może mu jako kandydatowi zapewnić duże powodzenie.

Tym dwóm kandydatom demokraci narodowi od *Górnoślązaka* przeciwstawili dwóch najwybitniejszych swoich ludzi — p. Królikowi p. Korfantego, głównego redaktora *Górnoślązaka*, a ks. Kapicy — dr. Stęślickiego, przewodniczącego Towarzystwa wyborczego. Demokraci narodowi obsadzili i resztę polskich okręgów Śląska, stawiając na okręg Pszczyna-Rybnik jednego ze współredaktorów *Górnoślązaka*, p. Kowalczyka, na Raciborz — dr. Rostka, na Wielkie Strzelce-Koźle — Hanzlika, na Oleśno-Kluczbork — Raska i na Gliwice-Lubliniec — Siemianowskiego.

Z wyjątkiem Siemianowskiego i Rostka, wszystko to są ludzie, dopiero rozpoczynający karyerę polityczną. Co do dr. Rostka, to był on właściwie pierwszym inicyatorem wyjarzmienia się ludności górnośląskiej z pod przewagi centrum. Przed laty już stawiał był swą kandydaturę w tym samym okręgu raciborskim, skąd obecnie kandyduje, i zdołał otrzymać dość znaczną liczbę głosów. Zresztą widoków powodzenia nie miał, tak samo jak nie ma ich obecnie, a to z tego powodu, że okręg raciborski posiada ludność mieszaną. Znaczny jej procent stanowią Morawianie, jeszcze mniej rozbudzeni pod względem narodowościowym, niż miejscowa ludność polska. Od czasu owych wyborów dr. Rostek wycofał się był zupełnie prawie z życia politycznego, sprzedał założone przez siebie *Nowiny Raciborskie* i usunął się w zacisze życia prywatnego. Dopiero agitacya demokratów narodowych skłoniła go do podjęcia czynnej roli politycznej.

Równie świeżym nabytkiem Towarzystwa wyborczego jest p. Siemianowski, długoletni współredaktor *Katolika*, który dopiero w ostatnich czasach usunął się z obozu katolikowców. Świeżo właśnie począł wydawać nowe pismo, *Głos Śląski* (w Gliwicach), zajmujący stanowisko bardzo zbliżone do *Górnoślązaka*, choć nie tak wyraźne. Zresztą główny cel tego pisma — to popieranie kandydatury p. Siemianowskiego, która posiada pewne widoki powodzenia.

Podczas ostatnich wyborów w okręgu Lubliniec-Gliwice przeciwko centrowcowi kandydował osławiony socyal-hakatysta, dr. Winter z Bytomia, który obecnie zapragnął uszczęśliwić swą kandydaturą polskich robotników w okręgu Bytom-Tarnowskie Góry. Na konferencyi w Batzdorfie, kiedy zwolennicy p. Róży Luxemburg poobsadzali wszystkie okręgi górnośląskie swymi stronnikami, dr. Winterowi przypadł w udziale okrąg bytomski. Naturalnie, robotnikom polskim ani się śniło uznać tych panów za kandydatów. Zaprotestowali więc gorąco i socyal-hakatyści musieli się cofnąć. Najdłużej opierał się dr. Winter, lecz i ten w końcu zrozumiał, że poczucie godności osobistej i narodowej robotnika polskiego na Górnym Śląsku zbyt już jest rozwinięte, aby pozwoliło narzucić się pierwszemu lepszemu przybłędzie, który chce zrobić karyerę dzięki polskiemu „bydłu wyborczemu.“ Konferencya, odbyta w październiku, w Berlinie, a mająca pogodzić polski i niemiecki odłam obozu zwaśnionego, dzięki intrygom p. Luxemburg, w znacznej mierze podkopała możność dalszego warcholenia takich Winterów. To też musiał on uznać karyerę swą na Górnym Śląsku za skończoną i od 1 lipca przenosi się do Szczecina. Jego kandydatura, jako zupełnie nielegalna, została milcząco cofnięta.

Wobec takiego stanu rzeczy, w najważniejszych okręgach górnośląskich będą się ścierały tylko trzy kandydatury: centrowców z katolikowcami, demokratów narodowych i socyalistów polskich. Bez wyborów ściślejszych nie obejdzie się w żadnym razie.

O ile na Górnym Śląsku mamy do czynienia z poważną ewolucyą polityczno-narodową, usuwającą z widowni żywioły o cechach anachronistycznych, zbytecznych już wobec podniesienia się poziomu rozwoju polityczno-społecznego ludu, o tyle w Prusach Zachodnich widzimy wyłącznie tendencyę zastąpienia pewnych osób przez inne — bez żadnej zapowiedzi zmiany kierunku, przez te osoby reprezentowanego. Jak wiadomo, w Prusach Zachodnich wielka posiadłość polska przestała prawie odgrywać rolę kierowniczą w społeczeństwie. Zdziesiątkowana, nie posiada tam już ani części tego wpływu, co np. w Poznańskiem. Kierownikami mas wyborców są tam *de facto* redaktorowie pism: *Gazety Grudziądzkiej*, *Gaz. Toruńskiej* i *Gaz. Gdańskiej*. Otóż w obecnym ruchu przedwyborczym kandydatury redaktorów wysunięto na plan pierwszy. Zwłaszcza p. Kulerski, redaktor *Gaz. Grudziądzkiej*, rozwija bardzo silną agitacyę za sobą. Robi to takie wrażenie, jak gdyby on był jedynym kandydatem na wszystkie okręgi wschodnio-pruskie. Istotnie, jego stronnicy postawili tę kandydaturę już w kilku okręgach. Tak samo agituje za sobą i redaktor *Gazety Toruńskiej*, p. Brejski.

Jakkolwiek pisma, t. zw. ludowe, w Prusach Zachodnich, są to bardzo często świstki, pozbawione wszelkiej wartości, których jedyne znaczenie polega na tem, że się drukują w języku polskim i w ten sposób paraliżują szerzenie się niemieckich piśmideł germanizatorskich, to jednak kandydatury ich redaktorów są w porównaniu z kandydaturami takich panów, jak Janta Połczyński, postępem w każdym razie. Przygotowują oni grunt, tak samo jak demokraci narodowi na Górnym Śląsku, dla wyraziciela rzeczywistej woli mas ludu pracującego. Rozumieją to dobrze księża, namiętnie zwalczający kandydatury „redaktorskie.“ Występują oni nietylko na wiecach przedwyborczych, ale i z ambon po kościołach grzmią przeciwko zwolennikom pp. Kulerskiego lub Brejskiego.

Powtarza się i tu, co działo się wszędzie gdzieindziej (np. w Galicyi), kiedy na widownię występowały nowe żywioły, chociażby ich tendencye niebardzo się różniły od zwalczanego przez nich dawnego kierunku. Księża w sposób jak najbardziej stanowczy wyzyskują swój wpływ na masy dla powstrzymania powag, chylących się do upadku.

Ta interwencya kleru przybiera niekiedy formę tak drastyczną, że nawet społeczeństwo, w wysokim stopniu przeniknięte klerykalizmem, zdobywa się na odruch protestu, jak to świeżo stało się w poznańskiej „Czytelni dla kobiet.“

Instytucya ta istnieje w Poznaniu od lat kilku. Podług brzmienia ustawy, celem jej miało być stworzenie ogniska życia intelektualnego, oraz ożywienie ruchu umysłowego wśród kobiet za pomocą utrzymywania czasopism, biblioteki i wypożyczalni książek, tudzież wspólnego czytania, odczytów i wykładów naukowo-literackich. Faktycznie jednak od roku przeszło nie odbyło się tam żadne zebranie w celu ożywienia ruchu umysłowego, żaden odczyt, żaden wykład naukowo-literacki. Niewiasty wypożyczały literaturę powieściową, czasopisma, i na tem koniec. Zdawałoby się, że taka skromna instytucya nikomu zaszkodzić nie może, tembardziej, że zarząd jej dba usilnie o to, by dzieła „niemoralne“ nie przedostały się do szafek towarzystwa.

Aliści naraz w Poznaniu rozeszła się pogłoska, że w owej skromnej czytelni dzieją się rzeczy niesłychane. W *Kuryerze Poznańskim*, a za nim i w innych organach prasy miejscowej ukazał się artykuł ks. Zimmermanna, dzwoniący na trwogę. Rzecz w tem, że do czytelni wstąpiła p. Gulińska, z zawodu dentystka, a z przekonań zwolenniczka Ledeboura. Jakkolwiek p. Gulińska żadnej agitacyi w Czytelni nie rozwijała, to jednak ks. Zimmermann żądał natychmiastowego jej usunięcia. Istotnie, zwołano specyalne zebranie, na którem roztrząsano, czy p. Gulińska może należeć do Czytelni. I stała się rzecz w Poznaniu niesłychana. *Większość* wypowiedziała się za pozostawieniem p. G. w Czytelni. Klerowi więc nie pozostaje nic innego, jak w drodze prywatnej szkodzić interesom materyalnym p. G., agitując za bojkotowaniem jej zakładu dentystycznego.

*Pośrednik.*



# LITERATURA POLSKA.

Wanda Grot-Bęczkowska: *Anima Vagans*, powieść. Warszawa, 1902. — Antoni Miecznik: *Na odajach stepowych*, powieść. Warszawa, 1903. — H. Orlicz-Garlikowska: *Nie-komedyantka*, historya teatralna. Warszawa, 1903.

P. Grot-Bęczkowska w nowym utworze swoim, p. t. „Anima vagans," wpadła na szczęśliwy pomysł obejrzenia nędzy fizycznej i moralnej przez pryzmat psychologii dziecięcej; zamiast samo malować lepkie błoto, na którem spoczywa podstawa rodziny średnio-mieszczańskiej, daje pióro w rękę dziecku; a ono, znowu naiwnie, potem, z biegiem lat, z rosnącą coraz bardziej świadomością, odtwarza w swoim pamiętniku całą rozpaczliwą powszedniość pożycia domowego.

W pierwszej części pamiętnika, kiedy dziecko na wszystko patrzy, ale niewiele jeszcze rozumie, charaktery zarysowują się dobrze, a środowisko występuje wyraziście. To dziecko widzi i słyszy takie rzeczy, o których rówieśnicy jego nie mają wcale wyobrażenia i od pierwszych lat życia oddycha atmosferą zatrutą, chociaż łachmany i zgniliznę przykrywa się tu szychem pozornie wzorowego stadła małżeńskiego. Ojciec, drobny urzędnik w banku, pracuje niby na rodzinę, zarabia bodaj tyle, że mógłby jej zapewnić byt względnie dostatni, wobec obcych gra rolę troskliwego małżonka. Ale w rzeczywistości to gbur, rozpustnik, lekkoduch, marnotrawca, który ożenił się z szesnastoletnią dziewczyną wbrew woli jej rodziców i w krótkim czasie uczynił ją matką czworga dzieci, niańką, służącą, kucharką, który ją zadręcza własnem postępowaniem i zgryzotami ciężkiego borykania się z losem, a wreszcie — wpędza do grobu.

Ten „tatuś" w opowiadaniu bohaterki zawiera wiele rysów prawdy życiowej: kiedy klnie, aż się szyby trzęsą; kiedy lży żonę i bije służbę; kiedy potem całuje i przeprasza swą ukochaną „Renię," klęka u jej stóp, nazywa ją aniołem i męczennicą, a na zgodę — kupuje ciastek z kremem. Trwoni pieniądze na zbytkowne graciki, zapominając o najpierwszych potrzebach rodziny; sprasza gości i zarządza dla nich wystawne przyjęcia — kosztem tygodniowego głodu całej rodziny. Zaleca się na prawo i na lewo, nie przebierając w przedmiotach miłostek chwilowych, a z domu wychodzi najspokojniej do biura lub do kolegów, zostawiając nieszczęśliwej żonie kłopot ułagodzenia wierzycieli, zgłaszających się po odbiór należności...

Szary, beznadziejny smutek wieje z tych kart. Patrzymy z żalem na obłudę i nikczemność, na te „piekła" rodzinne, na tę szlachetną kobietę, w atmosferze upadku i rozkładu; współczujemy tej ofierze obowiązków rodzinnych, upadającej pod brzemieniem trosk codziennych, bezlitosnych i brutalnych walk życia. Ale najbardziej żal dzieci, co nie prosiły o życie, a oddychają codziennie miazmatami zła; zrodzone nie w miłości, zostały rzucone w świat, jak szczenięta, bez wykształcenia, bez zasad moralnych, bez żadnych środków do walki o byt. Bo matka nie jest w możności dać im tego wszystkiego, a ojciec — poprzestaje na rodzicielstwie zwierzęcem, nie dba o resztę. Trzeba posłuchać, jak skarży się autorka pamiętnika, że nie ma książek potrzebnych do nauki, że wyszarzany jej mundurek jest przedmiotem drwin koleżanek, że wreszcie na wpisowe zabrakło i uczyć się nie może, choć pragnie tego tak bardzo. I przychodzi czas, kiedy woła z goryczą: „Żeby mnie się mamusia albo tatuś byli zapytali, czy ja chcę się urodzić, to bym była w niebogłosy krzyczała: Nie chcę, nie chcę!"

P. Grot - Bęczkowska przeidealizowała nieco swą bohaterkę: jak na dziecko 11—12 letnie, jest ona czasami trochę za rozumna i za głęboka. Najlepsza jest wtedy, kiedy, na tle smutku i logiki iście dziecinnej, przejawia się cała jej naiwność. „Bo to jest okropne takie życie—pisze pewnego dnia— i ja się dziwię, że mamusia poszła za mąż... Byłybyśmy sobie tak cicho, tak spokojnie mieszkały gdzie na wsi naprzykład, w malutkiej chatce, z wiśniowym sadkiem, i byłybyśmy się uczyły; Roma i Jerzyk nie słuchaliby ciągle o tych piorunach i cholerach "

Poważnym brakiem tej powieści jest przedewszystkiem — długotrwałość akcyi. Ciągnie się ona lat 18 czy 19, z kilku przerwami. To, jak na powieść, nawet w formie pamiętnika, stanowczo za długo; traci na tem spoistość budowy. A z drugiej strony tak wielki zakres czasu, w którym rozgrywa się akcya, nastręcza duże trudności psychologiczne: na początku powieści słyszymy np. o kimś, że się urodził, a przy końcu widzimy go 19-letnim niecponiem. Autorka nie potrafiła wybrnąć z tych zawiłości: „tatuś" np. w pierwszej części jest poprostu — marny, ale „ojciec" z drugiej połowy, frymarczący hańbą własnej córki, jest — podły.

P. Antoni Miecznik za tło swej nowej powieści p. t. „Na odajach stepowych," wybrał napół europejskie, napół azyatyckie życie właścicieli wielkich obszarów ziemskich w Rumunii. To pstre, kosmopolityczne środowisku rumuńsko-grecko-ormiańskie, pod pozorami kultury europejskiej kryjące porywy pierwotnej dzikości, mogłoby pod piórem dojrzalszem i wytrawniejszem stanowić wielki urok dzieła. P. Miecznik nie potrafił skorzystać ze sposobności, nie roztoczył przed nami szerokiego widoku stepu, ani natur stepowych. Niektóre sceny i postacie nie są pozbawione piętna egzotyzmu, ale inne za to wraz z całą osnową powieści toną w banalnościach. Z początku zdaje się, że bohaterem utworu będzie bogaty, pełen nudy i przesytu sybaryta, książę Romeano, szukający uciech życia po całej Europie, który, zatrzymawszy się na czas jakiś na swej „odai" rumuńskiej dla zaopatrzenia się w pieniądze, kupuje od herszta bandy cygańskiej młodziutką dziewczynę, aby wychować ją sobie na żonę, na złość bratu, który liczy na spadek po nim. Ale wnet i książę, i cyganka znikają zupełnie z widowni, tak iż nie wiemy nawet, co się z nimi stało w końcu, a natomiast wysuwa się na pierwszy plan najpospolitsza historya trójkąta małżeńskiego, w której bohaterem jest Polak, zapędzony przez zmienne losy na stepy rumuńskie: zaniedbuje on żonę, łagodną i cichą Ormiankę i ugania się za względami odaliski stepowej, aż wreszcie żona go porzuca i zabiera mu dzieci. Rozwiązanie jest również niezręczne, jak całość. Na ostatniej niemal stronicy powieści p. Stadnicki, któremu kochanka już zbrzydła, spotyka żonę i dzieci na polanie w lesie i powraca skruszony na łono rodziny.

Wszystko to dość blade i mało wypukłe. Słyszymy o ludziach, ale ich nie widzimy.

O „historyi teatralnej" p. Orlicz-Garlikowskiej p. t. „Nie-komedyantka," niewiele mamy do powiedzenia. Autorka poszła śladami Reymonta, dając nam obrazek z życia aktorów trupy prowincyonalnej. Nie zadawała sobie jednak wiele trudu: skopiowała żywcem kilka postaci ze znanego z występów w warszawie „towarzystwa dramatycznego," odfotografowała kilka sytuacyj ze sceny i z za kulis, okrasiła to wszystko skarykaturowanym mocno typem dziennikarza i nazwała ten wyrób „historyą teatralną." Po za tem niema tu żadnego węzła, żadnej intrygi powieściowej, nic, coby zdradzało skromny chociaż udział wyobraźni w tworzeniu powieści.

*H. Galle.*



# Rozwój monopolu w Anglii.

(Dokończenie).

Przykład Birminghamu znalazł naśladowców wśród właścicieli wielkich zakładów farbiarskich (farbowanie tkanin) w Yorkshire, którzy, wszedłszy w umowę z robotnikami, zdołali zmusić część właścicieli farbiarń w Yorkshire do przyłączenia się do organizacyi, ustanawiającej ceny dla całej gałęzi tego przemysłu. Druga część właścicieli, która na razie do organizacyi nie wstąpiła, założyła następnie kartel, tak że obecnie cały przemysł farbiarski w prowincyi Yorkshire pozostaje pod kontrolą dwóch wielkich stowarzyszeń.

Od roku 1893 rozpoczynają się wysiłki, mające na celu zorganizowanie olbrzymiego kartelu kopalń węgla kamiennego, lecz dotychczas pozostały one bezskuteczne. Chociaż do założenia powszechnego kartelu nie przyszło, powstał między właścicielami kopalń szereg związków, regulujących wytwórczość i, co ważniejsza, cały handel węglem w południowej części Anglii, włączając Londyn, został skoncentrowany w rękach jednej olbrzymiej firmy. W roku 1896 ośm przedsiębiorstw, spławiających węgiel do Londynu, połączyło się w towarzystwo akcyjne z kapitałem 2,000,000 funt. sterl., Zapowiedź towarzystwa obiecała obniżkę cen węgla, umożliwioną przez oszczędności, wynikające z nowej formy organizacyi; obietnica ta jednak nie sprawdziła się. Ceny węgla pozostały wciąż na jednym poziomie, gdy w r. 1899 towarzystwo akcyjne, kontrolujące dotąd dostawę węgla morzem, wchłonęło wszystkie domy handlowe, zajmujące się dostawą węgla kolejami, — ceny odrazu podskoczyły w górę. Obecnie w Londynie i w południowych prowincyach Anglii wszystkie firmy, handlujące węglem — a jest ich, mówiąc nawiasem, mnóstwo — zależne są w zupełności od owego towarzystwa akcyjnego i stanowią niejako jego filie, prowadzone pod rozmaitemi nazwami. Jak dalece handel węglem został zmonopolizowany, do-

wodzi następujący wypadek. Rada miejska jednego z miasteczek pod Londynem, ogłosiwszy konkurs na dostawę opału, otrzymała zaledwie jedną ofertę; ponieważ zawierała ona „klauzulę strajkową“ tj. zastrzeżenie, że dostawca uwalnia się od wszelkiej odpowiedzialności z powodu niedotrzymania warunków kontraktu, jeżeli przyczyną niedotrzymania umowy będzie strajk, więc rada miejska postanowiła zgodzić się na przyjęcie oferty tylko pod warunkiem wykreślenia tej klauzuli; na to odpowiedziano krótko: „Takie są nasze warunki, przyjmijcie je lub odrzućcie, lecz nie zmienimy ich ani na jotę.“ I rada miejska napróżno szukała innego dostawcy: musiała w końcu przyjąć podyktowany kontrakt. Ta monopolizacya handlu węglem angielskim przyczyniła się również niemało do kryzysu węglowego, który zimą 1899—1900 objął całą Europę.

Dażność do tworzenia związków, mających na celu opanowanie rynku za pomocą ilościowego normowania produkcyi lub określenia cen, opanowała niemal cały przemysł angielski. Wszystkie fabryki obić połączyły się w jeden trust, rozporządzający kapitałem 3,000,000 f. st. Trzy wielkie fabryki grzebieni i wyrobów rogowych, urządziwszy „fuzyę,“ kontrolują 90% produkcyi grzebieniarskiego przemysłu. Fabrykanci wyrobów gumowych posiadają od r. 1899 wspólny komitet, ustananawiający ceny. Siedemnaście fabryk oleju lnianego utworzyły „amalgamacyą“ z kapitałem 2,250,000 f. st. „Towarzystwo pralni sanitarnych“ nabyło w Londynie i zmierza do wykupienia wszystkich większych zakładów tego rodzaju. Znaczna część różnego typu kartelów organizowana jest w tajemnicy, i nieraz tylko przypadkowo wieść o utworzeniu nowego związku przemysłowców dochodzi do wiadomości publicznej, nie sposób więc określić dokładnie wszystkich dokonanych lub dokonywających się przemian. To jednak jest pewne, że, oprócz wyżej wymienionych, mniej lub więcej formalne kartele kontrolują produkcyę i handel solą, solami alkalicznemi, niklem, merkuryuszem, antymonium, ołowiem, naftą. Wszystkie większe papiernie połączone są w jeden związek. Jak powszechną stała się dążność do formowania karteli, dowodzi choćby ten fakt, że ostatnimi czasy we wrześniu r. b. — powstał kartel... wytwórców „Christmas cards,“ tj. ilustrowanych i kolorowych kartek, jakie anglicy mają zwyczaj posyłać sobie na święta Bożego Narodzenia.

W dziedzinie handlu widzimy podobne objawy. Pomijając już powstanie i szybki wzrost „uniwersalnych magazynów,“ jak np. Whiteley, Spiers Pond, gdzie można dostać wszystkiego, począwszy od chleba i pantofli, kończąc na ekwipażach i broni palnej, wielki kapitał wystąpił do współzawodnictwa z drobnym handlarzem, bijąc go jego własną bronią, tj. zakładając całe szeregi drobnych sklepów, w różnych punktach miasta i kraju. Firma Liptona np. posiada przeszło trzysta drobnych filij. Różne „International Stores,“ „Home and Colonial Stores“ itd. posiadają po kilkaset sklepów. Tanie restauracye Londynu są w rękach czterech firm; trzy czwarte wszystkich cukierni należy do trzech firm; handlarze mleka połączeni są w związek, rozdzielający dostawę do różnych dzielnic miasta pomiędzy oddzielnych przedsiebiorców. W roku 1897 powstał związek aptekarzy, składników materyałów aptecznych i firm, wyrabiających patentowane lekarstwa, który, chociaż nie objął wszystkich przedsiebiorców, zajętych w tej gałęzi, zdołał jednak osiągnąć cel główny, tj. zapobiedz obniżeniu się cen w handlu detalicznym.

Wreszcie w roku 1902 ten olbrzymi ruch centralizacyjny, uchodzący poprzednio uwagi publiczności, przybrał tak potężne formy, że odrazu przykuł do siebie uwagę wszystkich. „Imperial Tabacco Company“ zmonopolizowała cały handel tytoniem, hurtowny i detaliczny; najrozmaitsze firmy, poprzednio „robiące w tytoniu“ na własną rękę, są dzisiaj tylko agenturami wszechpotężnej kompanii, która samowładnie oznacza ceny, otwiera i zamyka sklepy, ogranicza liczbę gatunków tytoniu itd. Następnie zorganizował się kartel mięsny, który przez podstawione osoby wykupił szereg jatek na targach londyńskich, i ujął w swe ręce całą dostawę bydła do Londynu z prowincyi, oraz dostawę mięsa z Ameryki i Australii do portów angielskich. Wreszcie, co narobiło najwięcej hałasu, Morgan włączył do międzynarodowego kartelu siedem angielskich linij okrętowych, a pod tym wpływem pozostałe, z linią Cunard na czele, utrzymujące komunikacyę pomiędzy Europą i Ameryką, połączyły się również w kartel. W krótkim czasie dojdzie prawdopodobnie do skutku olbrzymi kartel dostawców zboża do Anglii; dowóz zboża z Kanady już jest zmonopolizowany w rękach kompanii anglo-amerykańskiej, która od jakiegoś czasu toczy układy z dostawcami zboża ze Stanów Zjednoczonych w celu urządzenia „combine.“

Anglia, do niedawna niemal zupełnie wolna od syndykatów, kartelów itp., tak że niektórzy ekonomiści przepowiadali jej uchronienie się i na przyszłość od tych związków ekonomicznych, „niezgodnych z wolnohandlowymi instyktami Brytańczyków,“ dzisiaj przedstawia pole bujnego rozrostu różnych typów monopolistycznych organizacyj. Bezpośrednim wynikiem tego rozrostu jest zatrzymanie się stałej zniżki cen przedmiotów, których produkcya została ujęta w ramy kartelów, oraz, w niektórych wypadkach, wzrost cen: tak np. podniosły się ceny ozdobnych wyrobów żelaznych, wszelkich wogóle towarów gumowych, jedwabiów i aksamitów, w części mięsa i węgla.

Rozwój kartelów przejawia się również we wpływie, wywieranym przez niektóre z nich na bieg życia społecznego. O ile wpływ ten może stać się z czasem niebezpiecznym nietylko dla spożywców, jako takich, lecz i dla organizacyi politycznej całego kraju, — ilustruje następujący świeży wypadek: syndykat okrętowy Północno-Antlantycki, zamujący się specyalnie przewożeniem emigrantów z Europy do Kanady, chcąc zmusić linię „Elder Dampster Co“ — ostatnia, która nie należała do syndykatu — do przyłączenia się, zażądał od londyńskiego departamentu emigracyi, by zaprzestał dostarczać oficyalnych informacyj zarządowi „Elder Dampster Co.“ Departament emigracyi odmówił, a syndykat zaproponował wówczas rządowi Kanady, by ten odmówił oficyalnie uznawania buntowniczej linii, grożąc w razie odrzucenia propozycyi, wstrzymaniem całej emigracyi, niezbędnej dla rozwoju Kanady i tak usilnie popieranej przez rząd tego kraju! Groźba ta, wskutek „porozumienia,“ jakie nastąpiło między syndykatem i kompanią, wykonaną nie została, lecz samo jej postawienie dowodzi, na co stać dzisiejsze przedsiebiorstwo.

Jeżeli na takie rzeczy może sobie pozwalać jakiś tam syndykat Północno-Antlancki, to czem dopiero może stać się potęga trustu, zawiadującego komunikacyą między całą Ameryką północną a Europą lub kartelu dostawców zboża amerykańskiego?

Czy trusty angielskie dojdą do osiągnięcia tego wysokiego stopnia rozwoju, jaki już osiągnęły niektóre trusty w Stanach Zjednoczonych, i czy potrafią wywierać równie silny wpływ na bieg całej machiny państwowej, czy też — przeciwnie — państwo uzyska nad nimi przewagę i zdoła przystować ich działalność do potrzeb społeczeństwa — oto pytanie, na które odpowie nam przyszłość. Dziś możemy tylko stwierdzić zasadniczą zmianę, zaszłą wobec nacisku faktów, w t. zw. opinii publicznej: te same pisma, które, jak *Times* np., jeszcze niedawno uważały wręcz wzrost syndykatów w Anglii za rzecz nieprawdopodobną, uznają obecnie teoryę koncentracyi kapitału za fakt stwierdzony i, co ważniejsze, zrezygnowały ostatecznie ze stanowiska, każącego im uważać mieszanie się rządu do spraw przemysłu i handlu za rzecz szkodliwą.

*T. Filipowicz.*

## O prawdę.



### Moja przygoda polemiczna.

Kiedy pewnego śmiałka zapytano, czy wielkiego doznaje strachu, wchodząc do klatki lwów, odpowiedział: boję się... pcheł. Przypuszczam, że tę samą trwogę czuje każdy miłujący prawdę i szanujący swą godność człowiek, który wchodzi do klatki lwów prasy warszawskiej. Nie boi się on ich zębów i pazurów, ale boi się ich pcheł.

Jeżeli czytelnicy zadadzą sobie trud zajrzenia do mojego artykuliku „O szpetnym wyrazie“ (w nr. 7 *Prawdy*), przekonają się, że usiłowałem w nim przedmiotowo wyrozumieć i ocenić dowodzenie p. K. Krauza w sprawie denuncyacyi. Do mojego wywodu nie wpuściłem ani jednego osobistego przygryzka, ani jednego posądzenia, ani jednej szykany, słowem, ani jednej warszawsko-dziennikarskiej pchły. Chodziło mi bowiem wyłącznie o rozjaśnienie samej, dość ważnej kwestyi. Była to może z mej strony nieostrożność, od której należało się powstrzymać przez pamięć na skutki wszelkiego „rozjaśniania kwestyi“ u nas polemiką, ale taką miałem intencyę. Jakoż p. Krauz był łaskaw zniżyć się ze swego szczytu do poziomu mojej mizernej wiedzy i moralności, a ja, przeczytawszy jego odpowiedź, nie poczułem głęboko zatopionych zębów i pazurów, ale poczułem znane mi dobrze ukąszenia, że „fałszuję cytaty,“ że „mogę być pewien głębokiej sympatyi takich,“ którzy „względy humanitarne zostawiają Żydom, tchórzom i socyalistom,“ że zrobiłem krok bardzo „szkodliwy,“ że na „szczęście“ artykuły moje są drukowane jako *nadesłane* itp. Wszystko to zaś i wogóle cały wykład mędrca głupcowi wypowiedziany został w tonie: „proszę pana“ i „a wie pan, dlaczego?“ Rzeczywiście, nie wiem, dlaczego się odpowiada publicznie wyniosłemi i ubliżającemi impertynencyami komuś, kto grzecznie wyraził odmienne zdanie w przedmiocie spornym, bo nie „należę (jak p. K.) do szkoły kryminologów, mającej przyszłość przed sobą.“ Jestem sobie tylko skromnym prostaczkiem, od 15 lat badającym dziedzinę zagadnień społecznych, co mi przecież ani nie daje prawa do zabierania w nich głosu, ani nie zabezpiecza od jego utraty na rozkaz marszałków w sejmie socyologicznym. Właściwie zatem powinienbym z pokornem milczeniem nie przeszkadzać p. K. w ryciu na skale dla przyszłości świętych, niewzruszonych i nietykalnych prawd kryminologicznych; ośmielę się jednak powiedzieć jeszcze kilka słów w obronie mojej małości i niedomyślności.

Wiadomo, że u nas niemal zawsze przeciwnik czyjegoś mniemania przytacza je „fałszywie.“ Naturalnie i ja to uczyniłem, ale ponieważ p. K. przedrukował w poprzednim numerze *Prawdy* całe ustępy, których treść sfałszowałem, więc mogę powoływać się na ich znaczenie. Według autora tedy „przywoływanie pomocy sądu“ w tych wypadkach, „kiedy pokrzywdzony jest społecznie słabszym,“ jest zupełnie uzasadnione i *nic* mu zarzucić nie można z punktu widzenia moralnego.“ Jak to się „przywołuje pomocy sądu“? Donosi mu się? No tak, innego sposobu niema. „Jednak— zastrzega p. K, — i w tych wypadkach trafny instynkt mówi nam, że pomoc prywatnego

człowieka *nie powinna* posuwać się aż do denuncyacyi.“ Czyli: człowiek prawdziwie moralny w pewnych wypadkach zbrodni obowiązany jest wezwać przeciw niej na pomoc sąd, wcale go o niej nie uwiadamiając. Czy to rozumiecie? Ja — nie. „*Groźba* denuncyacyi — pisze dalej p. K. — *może* być w pewnych wypadkach uzasadniona, mianowicie wtedy, gdy może skłonić winnego do naprawienia krzywdy.“ A jeżeli on tej groźby nie ulęknie się — co mam zrobić? Także nie wiem. „Jeśli widzę — uczy dalej p. K. — że jeden chce drugiego zabić, to mam *obowiązek* przeszkodzić temu zamiarowi, *chociażby* moja interwencya musiała pociągnąć za sobą zamknięcie winowajcy w kryminale — rzecz, do której wogóle przyczyniać się nie mam nigdy *najmniejszej ochoty*.“ Jakim sposobem moja „interwencya,“ zapobiegająca spełnieniu zbrodni i osadzająca winnego w kryminale, może objawić się wobec „trafnego instynktu,“ który wyraźnie zabrania „prywatnemu człowiekowi posuwać się aż do denuncyacyi“ i wobec braku w nim „najmniejszej ochoty“ do tego — jest to zagadka, której nie ważę się rozwiązać. I wogóle wątpię, czy sz. autor, podjąwszy nawet jeszcze raz trud wyłożenia swej teoryi etycznej, w której „można“ i „nie należy“ odnosi się do tych samych wypadków, w których jedna połowa reguły zmienia drugą, w której humanizm Tołstoja wiąże się z surowością Kanta, zalecającego spełnianie obowiązku wbrew upodobaniu, wątpię, czy zdoła on nam wytłomaczyć, czego właściwie chce, czy i kiedy denuncyacya jest według niego moralną. Ktoby zaś chciał postępować według jego reguł, znalazłby się w położeniu lokomotywy, którąby jednocześnie puszczono w ruch i zahamowano. Że przytem nasza, a przynajmniej moja niepojętność nie jest bezwzględną, lecz ograniczoną do twierdzeń p. K., przekonywa mnie o tem fakt, że gdy w jednym z miesięczników francuskich znalazłem równocześnie artykuł p. A. Le Roya, dotyczący niemal tego samego przedmiotu, zrozumiałem go zupełnie. Bo autor powiada jasno: kara będzie „przesądem moralnym“ w przyszłości, ale jest „użyteczną i konieczną“ dotychczas. Ponieważ społeczeństwa znajdują się dziś w rozmaitych okresach rozwoju, a kiedyś jeszcze bardziej się zmienią, więc każdy, kto roztrząsa jakieś zagadnienie moralne *teoretycznie*, ma prawo przypuszczać, że sumienny przeciwnik przyjmie jego rozumowania w ramach ogólnych, a nie przylepi ich do jakiegoś rozdziału podręcznika geografii, nie zwiąże z pewnymi konkretnymi objawami nizkiej kultury. Nie mówiłem też wcale o denuncyacyi w jakimś kraju, unikałem nawet tego wyrazu i popularnego nazywania organów, które z niej korzystają. Zastanawiałem się tylko nad stosunkiem moralnego człowieka do niemoralnego przestępcy. Mimo to p. K. uznał za właściwe stwierdzić, że on budzi potrzebny u nas „wstręt do denuncyacyi i denuncyatorów,“ a ja, broniąc tego paskudztwa, popełniłem krok „bardzo szkodliwy i fałszywy.“ Jest on nawet tak uprzejmy, iż „woli nie przypuszczać,“ że go rozumiem, a jednakże... Tu stawia trzy kropki — trzy złośliwe uśmiechy. Takie delikatne „crever l'oeil au diable“ stało się już nieprzyzwoitością w poważnych sprawach gdzieindziej, u nas jest jeszcze ich ozdobą.

W końcu drobne wyjaśnienie. P. Kr. uważa to za „szczęście,“ że redakcya drukuje moje artykuły jako „nadesłane.“ Otóż winienem mu odsłonić tajemnicę, że to „szczęście“ wyłącznie mnie zawdzięcza. Pamiętając bowiem o tem, że u nas literaci nie wygłaszają swoich przekonań, lecz ogólnie obowiązujące przykazania, że kartka papieru pod ich piórem zamienia się na kamienną tablicę, że pisząc swoje artykuły polemiczne, stawiają krzesło na biurku, ażeby przemawiać z wysoka, że wszelkie odstępstwo od „jednomyślności“ wywołuje alarm Kapitolu, że usłyszawszy odmienne zdanie, każdy siodła swą wielkość i wyjeżdża na niej przeciwko „szkodnikowi,“ że czytelnicy pisma po artykule, nieprzystającym geometrycznie do ich widzenia rzeczy, podnoszą bunt i zrzekają się prenumeraty, zastrzegłem, ażeby moje odezwania się pomieszczane były z nadpisem: „nadesłane.“ Nie chcę nikogo wciągać w obręb mojej odpowiedzialności i wolę być grzesznikiem na własny rachunek.

*Go—on.*

---

## NA MARGINESIE.

—◆—

**Chopin i George Sand.** Nowe i charakterystyczne szczegóły o wzajemnym stosunku tych dwojga wielkich artystów podaje *La revue* w 2-gim numerze styczniowym z r. b. Znajomość i zbliżenie nastąpić miało za pośrednictwem Liszta i pani d'Agoult, którzy, jak twierdzi autor artykułę, „wkrótce już tego żałowali.“ George Sand o sześć lat starsza od Chopina, mającego wówczas rok 28, skorzystała z przyjaznych stosunków z panią d'Agoult, ażeby sprowadzić go do swej wiejskiej siedziby w Nohant: „Powiedzcie Chopinowi — pisała do niej — że go ubóstwiam“; na co pani d'Agoult wysłała złośliwe zawiadomienie o stanie jego zdrowia: „Chopin kaszle z niewysłowionym wdziękiem. To człowiek niezdecydowany; stałym u niego jest tylko kaszel.“ A George Sand dla odwrócenia podejrzeń odpowiada w parę dni potem: „Chcę mieć *Fellows* (tak nazywała Liszta i panią d'Agoult), chcę ich mieć prędko i jak można najdłużej. Pragnę ich *nad życie*. A także chcę mieć Chopina i wszystkich Mickiewiczów i Grzymałów w świecie— nawet Sue'go... byle tylko nie kochanka.“ A tymczasem stosunek ten zawiązał się wkrótce i na dziesięć lat blizko. W rok potem, dla zdrowia dzieci George Sand wyjechała na zimę na południe. Chopin jej towarzyszył. Tę wspólną wycieczkę, nazwaną przez jednego z pisarzów francuskich „szaleństwem równoznacznem z wyprawą do Wenecyi, podjętą w podobnych okolicznościach,“ starała się upozorować w 15 lat potem, w listach do przyjaciół domaganiem się samego Chopina i jemu życzliwych: „Złem zrobiła, żem uległa ich nadziejom i mojej własnej troskliwości. Dość przecie miałam już kłopotu z dziećmi — ażeby jeszcze obarczać się takim niepokojem i taką odpowiedzialnością.“ Pobyt na Majorce jak najgorzej wpłynął na zdrowie Chopina. Warunki życia na wyspie przedstawiały zupełnie pierwotne: brud, niewygody mieszkaniowe, braki najpotrzebniejszych, do codziennego użytku niezbędnych, przedmiotów i pożywienie niedające się niczem opisać. „Sienniki roją się od robactwa, w zupie znajdujemy niedźwiadki. Po najmniejszą rzecz trzeba posyłać do Barcelony.“ Za prawo wprowadzenia fortepianu Chopina do miasteczka żądano 700 fr.

Stan chorego uległ wkrótce znacznemu pogorszeniu. Wezwano trzech najlepszych na wyspie lekarzy. „Jeden — opowiada Chopin — utrzymywał, że koniec mój blizki; drugi—że umieram; trzeci wreszcie — że umarłem.“ Położenie pełne udręczeń, które George Sand maluje z właściwą sobie szczerością: „Biedny Chopin, w chorobie był nieznośny. W towarzystwie łagodny, ożywiony, miły, w stosunkach zażyłości domowej stawał się nad wyraz przykry. Do niemożliwości drażliwy: listek różany, cień muszki go urażał.“

Było im tam tak źle, że wszyscy bez wyjątku pragnęli wrócić co prędzej. Na początku marca Chopin dostał krwotoku. Nazajutrz wsiedli na jedyny statek, który kursował z wyspy i odbyli podróż w towarzystwie stu wieprzy. Podczas drogi Chopin wyrzucał całe miednice krwi. W Barcelonie właściciel hotelu, do którego zajechali, kazał sobie zapłacić za łóżko, na którem spał Chopin, pod pozorem, że policya kazała je spalić. Po drodze z Marsylii udali się na krótko do Genuy. Chopin pragnął towarzyszyć George Sand do Nohant. Na co ona się zgodziła, lecz w „Historyi mego życia“ okolicznościom tym nadaje niezupełnie prawdopodobne zabarwienie: wmawia w siebie i w drugich, że, chcąc więcej oddać się dzieciom, przyjęła stosunek z Chopinem, jako *zabezpieczenie* od nowych wrażeń, których już doznawać nie chciała. Chopin, którego usposobieniu otoczenia George Sand nie odpowiadało zupełnie, przeżył tak jednak lat ośm, trzymany przez okazywane mu uwielbienie, przez pochlebstwa i pieszczoty, jakich mu nie szczędzono. Ochłodzenie w stosunkach nastąpiło po wydaniu powieści „Lucrezia Floriani.“ Chopin podejrzewał, że go tu odmalowano pod postacią księcia Karola, dziwacznego marzyciela. W 1849 r. spotkali się raz jeden jeszcze u znajomych. George Sand podeszła wzruszona, mówiąc: „Fryderyku!“ Chopin, spotkawszy się z jej spojrzeniem błagalnem, zbladł, podniósł się i, nie mówiąc słowa, oddalił. Jaki żal mógł mieć do niej? To jest tajemnica, którą oboje unieśli z sobą do grobu. George Sand w „Historyi mego życia“ zwracając się ku tej przeszłości swojej, wypowiada te posępne słowa: „Moje serce jest cmentarzem.“ W istocie, nie brak tam było mogił z pogrzebanemi uczuciami.

---

## PRASA ROSYJSKA.

—◆—

### Kulturtreger o Polakach.

*Nowoje Wremia* z d. 15 lutego r. b. pomieściło list Niemca, K. Hofmanna, mieszkającego w Gatczynie, nadesłany z powodu uwag tego pisma o stosunkach poznańskich, a który tu podajemy w tłomaczeniu *Gaz. Polskiej*. Dziennik rosyjski wymienia dokładny adres Niemca: ulicę i numer domu.

Oto co pisze p. Hofmann:

„Artykuł wasz w nr. 9,661 o humorze niemieckim *deutsche Gemüthlichkeit* — przyniesie wam, możecie tego być pewni, mało korzyści: my nie myślimy znosić wszystkiego spokojnie, jak jacyś tam nędzni Polacy! Strzeżcie się, żeby wam jeszcze nie zamknięto budy. Dotychczas zachowaliście się zupełnie przyzwoicie.

Zupełnie nie do pojęcia, skąd wam do głowy przyszło brać w obronę to przeklęte polskie plemię? Dotychczas było i w was dość zrozumienia dla rzeczy, i macie przecież przewodnika w osobie waszego niemieckiego współpracownika, von Engelhardta, który przepięknie umie po rosyjsku i dlatego może objaśnić publiczności rosyjskiej kwestye kultury zachodnio-europejskiej. Nie chcę twierdzić, żeby Rosyanin nie mógł być objaśniony przez Francuzów itd., ale do wyżyny duchowego rozwoju Niemca można dojść tylko przez wiele pokoleń. Ale na co to wam? Dotychczas na swoje szczęście Rosyanie z pokorą podążali za śladami geniuszu niemieckiego — bo czyżbyście wy byli w stanie mówić prawidłowo po rosyjsku bez znakomitych prac Grota?—tak też i w polityce zagranicznej. Czy także nie było szczęściem dla Rosyi, że wyznaczyła Timirazjewa z Berlina pełnomocnikiem przy układaniu nowego traktatu rosyjsko-niemieckiego?—bez tego byłoby z Rosyą licho. Dobra rada z decydujących sfer berlińskich zawsze była przyjmowana i wykonywana w Rosyi, i w tem wielkość i siła cesarstwa. Ale ostatni wasz artykuł to rzecz całkiem nie do uwierzenia! Ja radzę wam, cofnijcie go i napiszcie, że artykuł ten wydrukowany został przez niedopatrzenie redakcyi...

Dlaczego, myślicie, chcemy wytępić Polaków i wytępimy ich? Dlatego, że to najchytrzejsze plemię, którego w żaden sposób zasymilizować nie można. Patrzcie — wszyscy: Żydzi, Francuzi, Anglicy itd., którzy mieszkają dłuższy czas wśród tak ucywilizowanego narodu, jak my, wszyscy oni mówią u siebie w domu tylko po niemiecku, jak np. potomkowie Hugonotów itd. Ci są prawymi Niemcami, ale Polacy — nigdy, chociaż znaczna część tych Niemców także jest katolikami, jak i oni. Tak więc, czy możemy ze względu na możliwość wojny cier-

pieć na granicy kilka milionów ludzi, którzy z głupoty odważyliby się... No, wy to zrozumiecie. Jeżeli ktoś gotów jest zmienić swoją przynależność do wielkiego, potężnego i ucywilizowanego narodu na poddaństwo drugiego państwa—czy to nie głupiec? Teraz, co prawda, niema powodu do obaw, dopóki Rosya kroczy drogą pokoju w zupełnem porozumieniu z Niemcami. Ale może zajść co innego. Przyszłość jest ciemna.

Bronicie Polaków, bo ich nie znacie. Widzę to już z tego, jak przetłomaczyliście na polskie imię Wenzel. Ja mieszkałem w Bydgoszczy 6 lat i wiem, że w żargonie polskim, który oni nazywają patetycznie „językiem polskim,“ brzmi imię to zupełnie inaczej — takie to niemożliwe do wymówienia słowiańskie imię, jak większość imion polskich! Rosyanie biorą imiona z języka greckiego, na to można się godzić, to kulturalne imiona, chociaż należą do języka martwego. Tymczasem Polacy dążą do tego, aby wszystko było u nich słowiańskie! Chytra i fałszywa to hołota nie do uwierzenia! O tem napiszę wam innym razem, a teraz pytam was, jaką korzyść przynieść wam może ten naród żebraczy? My, naród bogaty, kulturalny, my możemy być Rosyi pożytecznymi, i chcemy tego. Mówię tu o korzyściach duchowych, kulturalnych, a nie o pracy fizycznej i pieniądzach. Cóżby się stało z Rosyą, gdyby ją opuścili kupcy niemieccy, majstrowie, rzemieślnicy, — nie mówiąc już o wyższych urzędnikach? Ktoby dawał robotę chłopu rosyjskiemu? Toć we wszystkich instytucyach u was są Niemcy. A co dają Rosyi polscy żebracy? Nic. Oni, pracują za tańszy pieniądz. Robią Niemcom w Rosyi konkurencyę. Wszędzie pomiędzy sobą mówią w swoim żargonie, usta ich pełne słów o sprawiedliwości, ludzkości. Sami filozofowie! Czy myślicie, że ta hołota stać będzie przy was wiernie? Oni wam tego, co myślą, nie powiedzą, bo tak fałszywego narodu nie znajdziecie nigdzie.

Jedyna dobra rada, jaką wam my, Niemcy, dać możemy, to ta, ażebyście wszystkich Polaków ze swych granic wysłali na Syberyę, tam nie będą mogli popierać jeden drugiego, a kraje, przez nich opuszczone, rozkolonizujcie pomiędzy Rosyan i jako nauczycieli — sprowadźcie do nich Niemców.

Mam mocną nadzieję, że waszą szanowną gazetę nawrócę swoim artykułem na tory prawdy.“

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** W *Warsz. Dn.* czytamy: „Z powodu ukazania się w ostatnich czasach kilku dzienników żargonowych, poświęconych propagowaniu idei syonistycznych, jeden z najbardziej poważanych cadyków zabronił hasydom czytywania tych gazet, wzamian zaś za to zalecił jeden z najbardziej rozpowszechnionych dzienników polskich, który w czasach ostatnich zamieszczać zaczął artykuły przeciwko syonizmowi. Pomiędzy hasydami powstało kilka kółek, które mają na celu propagowanie hasydyzmu i walkę zarówno z syonistami jako też z asymilatorami.“

— W Bremie 1,500 robotników okrętowych północno-niemieckiego Lloyda zorganizowało strajk z powodu niesprawiedliwego wydalenia jednego z towarzyszów.

— Lekarze-pomocnicy przy szpitalach wiedeńskich grożą bezrobociem, jeśli żądania ich nie zostaną uwzględnione.

— W Peszcie utworzył się komitet w celach zwalczania manii pojedynków. Wydana została odezwa, wzywająca, aby wszyscy, bez różnicy narodowości, religii i zapatrywań politycznych przyłączali się do tego ruchu. Nadto odezwa ligi domaga się rozporządzeń prawodawczych, któreby zapewniły dostateczną ochronę honorowi prywatnemu, oraz zorganizowania sądów honorowych, zapewniających dotkniętym na honorze zadośćuczynienie bez broni.

**Z Poznańskiego.** W Gnieźnie ma odbyć się wkrótce proces przeciw 14 uczniom gimnazyalnym, Polakom.

— W Ełku, w Prusach Wschodnich, powstaje szkoła dla polskich tłomaczów sądowych; wyznaczono na ten cel 30,000 marek.

— Zaniechano projektu podzielenia komisyi kolonizacyjnej na poznańską i zachodnio-pruską ze względu na „potrzebę jednolitego kierownictwa w walce z żywiołem polskim.“

— W Berlinie odbyło się zebranie grupy hakatystów, na które spodziewane było przybycie b. nadburmistrza Wittinga i wygłoszenie odczytu o poznańskich miastach niemieckich. Witting nie przybył, przemawiali więc przewodniczący oraz prof. Holtz, użalając się, że praca hakatystów natrafia na silny opór kleru polskiego i prasy, oraz na brak poparcia ze strony rządu. Zebranie wyraziło życzenie, ażeby księżom zakazano należeć do towarzystw polskich a prasę zmuszono do wydawania pism w dwóch językach.

— Głośny ks. Bogumił (Gottlieb) Krzesiński, z Magdeburga, ofiarował „towarzystwu szerzenia niemczyzny na kresach wschodnich“ bogaty księgozbiór, przeznaczając go dla katolickich członków H. K. T.

**Szkoły i wychowanie.** Z powodu wielkiego napływu z różnych stron kraju osób, przybywających do Warszawy dla zdawania egzaminu na stopień dentysty, warszawski urząd lekarski wyjednał u swej władzy rozporządzenie, aby egzaminowi w Warszawie podlegali tylko jej mieszkańcy; kształcący się zaś w miastach gubernialnych Królestwa Polskiego i w Cesarstwie powinni odbywać egzamina przy swoich urzędach lekarskich.

— Ministeryum oświaty upoważniło rady opiekuńcze okręgów naukowych na kresach państwa do decydowania w sprawie wykładania w klasie 1 i 2-ej szkół realnych lub opuszczenia tych części historyi Rosyi, które mają znaczenie lokalne. W takich wypadkach opuszczone części mają być zastąpione innym materyałem historycznym.

— *Now. Wr.* donosi, iż w uniwersytecie kijowskim i petersburskim nie będzie uroczystego aktu zamknięcia roku akademickiego.

— Z Wiednia donoszą, o blizkiem pomyślnem rozstrzygnięciu sprawy upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie.

**Wiadomości naukowe.** Komitet, zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez władzę rządową, przyznaną zostanie w r. 1903 nagroda pieniężna imienia prof. Adolfa Pawińskiego, w wysokości rb. 600, za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim, w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat, tj. 1900, 1901, 1902, pracę, odnoszącą się do historyi polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materyałów zebranych przez prof. Pawińskiego. Stosownie do ustawy Kasy i do zastrzeżeń władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa za granicą bez pozwolenia rządu, za dzieło przez cenzurę dozwolone, choćby wydane za granicą. Jakkolwiek komitet, zarządzający Kasą, będzie usiłował zebrać dla oceny kwalikwikujące się do nagrody prace wydane w latach wymienionych, dla uniknienia jednak przeoczeń prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze komitetu (Niecała nr. 7), lub na ręce jednego z członków komitetu.

**Literatura i prasa.** Na dochód Kasy literackiej będą wygłoszone w przyszłym miesiącu pomiędzy innymi, odczyty następujące: Prof. dr. Henryk Struve: „Sztuka i społeczeństwo;“ Władysław Jabłonowski: „Rozwój literatury francuskiej w drugiej połowie XIX wieku;“ Antoni Miecznik: „O mistycyzmie;“ Wojciech Szukiewicz: „O Zakopanem“ (z obrazami niknącymi); St. A. Kempner: „Józef Supiński;“ Kazimierz Glińskі: „Komedya;“ Henryk Galle: „O Panu Balcerze w Brazylii“ Konopnickiej.

— *Gazeta handlowo geograficzna*, przewodnik dla emigrantów, redagowana od lat 8 we Lwowie, przestała wychodzić.

— *Książka* donosi, iż pod firmą dr. J. Marchlewski i Sp. powstała w Monachium księgarnia nakładowa, mająca wydawać dzieła autorów polskich i rosyjskich, z którymi zawarła umowę na prawo własności ich utworów po za granicami Rosyi.

— *Gazeta handlowa*, z powodu 50-ej rocznicy zgonu Piotra Steinkelera, przemysłowca polskiego, ogłosiła konkurs na monografię jego działalności. Nagroda 250 rb., niezależnie od honoraryum literackiego. Termin do 1 października r. b.

**Ze sztuki.** Wydział Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ w Krakowie ogłosił konkurs na projekt malowania ścian i sufitu w jakimkolwiek pokoju. Projekt ma mieć charakter polski, i wykonywać się za pomocą patronów, najwyżej w trzech barwach, oprócz tła. Nagroda 200 koron. Wzory należy nadsyłać do Towarzystwa (Kraków, Wolska 14) do d. 25 marca r. b.

— Gazety galicyjskie donoszą, że Jan Szczepanik wynalazł sposób fotografowania przedmiotów stałych w naturalnych barwach; zdjęcia osób uniemożliwia dwugodzinny proces utrwalania się barw na kliszy. Wynalazek ten nabyli już podobno Anglicy.

— W Salonie Krywulta wystawiono 80 krajobrazów Abrahama Neumana, z okolic Krakowa, Kazimierza, Zakopanego i in.

— D. 1 lipca otwarta będzie w Wieliczce wystawa fotograficzna. Bliższych objaśnień udziela redakcya *Ilustracyi Polskiej* w Krakowie, lub komitet wystawy (J. Czarnecki w Wieliczce).

— Czeskie Tow. sztuk pięknych w Pradze urządza wystawę, która trwać będzie od 1 kwietnia do 30 maja r. b.

**Sprawy ekonomiczne.** Kieleckie Tow. rolnicze ogłosiło konkurs dla gospodarstw większych, prowadzonych racyonalnie i wykazujących najwyższy dochód. Wynik konkursu ma dać obraz postępu w rozwoju gospodarstw w gub. Kieleckiej.

— W Sosnowcu zawiązane zostało Towarzystwo wzajemnego kredytu.

**Zdrowie publiczne.** Zatwierdzono ustawę uzdrowiska dla chorych piersiowych, powstającego ze składek publicznych w Kuflewie (pow. Nowomiński).

— Towarzystwo walki z chorobami zakaźnemi utworzyło przy kijowskim instytucie bakteryologicznym oddział medycyny doświadczalnej. Prezes Tow., Łazarz Brodzki, ofiarował na ten cel 10,000 rb.

— Dżuma szerzy się w mieście Muzatlan, nad zatoką Kalifornijską.

**Powódź.** Kilka dni temu, podczas ruszenia lodów na Wiśle utworzył się zator poniżej wsi Rataje w Stopnickiem, skutkiem czego woda zerwała wał na długości 20 sążni i zalała 20 wsi. Nim zdołano usunąć zatory, nastały mrozy, woda rozlana poczęła zamarzać, wszelka komunikacya z powodzianami została przerwana i dowóz żywności uniemożliwiony. Biedacy, uciekłszy przed wodą na strych domów, dokąd niektórym udało się także wciągnąć krowy, trzodę, itd., bez ognia, bez pożywienia znajdowali się w strasznem położeniu. Woda przybierała z taką szybkością, że ludzie nie mogąc ujść przed nią wdzierali się na drzewa, zające na stogi siana. Mnóstwo zwierzyny zginęło; całe stada saren widziano niesione przez fale. Straty ogromne. Mieszkańcom wsi, dotkniętych straszną klęską, ludność okoliczna dała pierwszy ratunek, lecz rozmiary zniszczenia są tak wielkie, że ofiarność jednej okolicy nie wystarczy i cały kraj powinien wziąć udział w niesieniu pomocy nieszczęśliwym.

**Zmarli.** Fabijan Ferdynand Sławiński, lingwista polski i pedagog, w Warszawie.

— Zygmunt Bein, kandydat praw, współpracownik pism, w Warszawie.

— D. A. M. Kłoczewski, chemik, wychowaniec b. Szkoły Głównej, w Waszyngtonie.

— Ks. Bolesław Kłopotowski, arcybiskup mohylowski, w Petersburgu.

## OGŁOSZENIA.




Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Февраля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.